

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

	D

Tow. Przyjaciół Nauk i Przemysłu.

4316^D

VIII. - / 1 - 78

BIES I SKARBONKA.

BIBLIOTEKA
URZĘDNIK: TOW. W. ... KRAKOWIE
SEK. ...



MISSISSIPPI



MACIEJ WIERZBIŃSKI.

1323
12

Bies i Skarbonka

11.25064
318741

ROMANS CYGAŃSKI.



WARSZAWA

Konstanty Trepte, Erywańska 16
Lwów New-York
Księgarnia The Polish Book
H. Altenberga Importing C-o

A-19404



1005021930

Literat. 13a

BIBLIOTEKA
UMCS
DUBLIN

~~~~~  
Druk Synów Św. Niemiry — Warszawa, Plac Warecki 4.

K. 1160/56/2085

---

I

— Czyś jeszcze nie ubrana? Jakże z tym obiadem, psia krew?...

Zgryźliwy pomruk barytonowego głosu ozwał się w ciszy obszernego pokoju na czwartaku.

Milczenie. Z przyległej sypialni nie dochodził najmniejszy szelest.

— Czy ty jeszcze śpisz? — warknął po chwili smagły, wygolony brunet przed siebie.

— Zaraz skończę fryzurę. Idź do kuchni i powiedz Nastusi, by spieszyła się

---

z obiadem — odpowiedział dźwięczny głos z po za kotary wyblakłej, może z starych rekwizytów teatralnych wywleczonej.

— Kazałaś przynieść wódki?

— Stoї przy piecu.

Kocim ruchem mężczyzna sięgnął do kąta, zalał kieliszkiem śliwownicy krzyk dokuczliwego apetytu i począł znowu wymierzać pokój cichuteńkiemi, długiemі krokami.

Nie chodził, lecz raczej ślizgał się jaszczurczymi ruchami, jakby przejętymi od cyrkowego „człowieka kauczukowego“, pełzał po przez przestrzeń złodziejskiemi nogami wałkonia, co zwykł w nocy czałić się u węgła domu, przypadać cichaczem w zaułki mroczne, szpiegować, czyhać. W chodzie jego było coś złowrogiego, w liniach i arabeskach, jakie zakreślała jego niewielka figura, rysowały się jakieś chimery czy bazyliuszki z fantazyi zbrodniczej zrodzone.



---

Fałda prostopadła zaznaczyła się niby bróзда na zoranem czole typowo aktorskiej maski, powleczonej siatką, delikatnych zmarszczek, o rysach regularnych, o rozluźnionych, obwisłych mięśniach licowych. Zmięta, zniszczona twarz ta napiętnowana była wprost uderzającym wyrazem nikczemności i kabotynizmu, odzwierciadlała prześwietnie istotę jego, wydzielając z siebie jakiś wstrętny zapaszek trującej zgnilizny.

Przyglądały mu się z podełba tandetne, seledynowe meblątka, ambicjonujące do parodji burżuazyjnego saloniku, odznaczające się dziwaczością rysunku, ogromnym niesmakiem i niemal absolutną bezużytecznością. Harmonizowały wybornie z zwiędłymi wieńcami, ostentacyjnie rozwieszonymi na ścianach w całej okazałości barwnych szarf, oraz liczne fotografie jego maski, bogato oprawione i rozmieszczone nabożnie. Te trofea

---

pseudotrjumfów prowincjonalnych starały się przypomnieć komikowi dawne, lepsze czasy, urągały w żywe oczy „artyście“, przez głupią ludzkość zapoznanemu i skazanemu na swój spryt życiowy.

Zwano go „hrabią“ wśród garstki wypłutych na bruk wielkomiejski aktorów, wałęsających się niby psy bez budy, bez pana, wylegujących po kawiarniach i szukających w chronicznem próżniactwie zmiany losów, albo raczej pokątnej tranzakcyi na koszt przygodnej ofiary młodzieńczej lekkomyślności.

Hrabią był pięćdziesięcioletni pan Tadeusz — nie z ojca, który był urzędnikiem kolejowym w Jaśle, ale z babki węgierskiego rodu. Miał to nawet na piśmie.

Siadłszy przy stole nakrytym do obiadu, oparł się o ścianę i bębnił wychudzionymi palcami po talerzu, kombinując coś w gło-



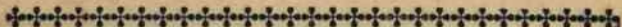
---

wie, gdy wpłynęła do pokoju dystyngowanym krokiem wysoka, wiotka kobieta o złoconych włosach, wzbogaconych ufryzowanym starannie postiche'm.

Bez słowa zajęła miejsce przy stole przedziwnie miękkim, ślicznym ruchem i poczęła krajać chleb. Wielkie wyczerpanie leżało na całym tym ładnym, cukierkowym a bladym i lymfatycznym zjawisku — teatralnym, a jakby słodką naiwnością dziecka wyidealizowanym. Z miłej twarzy wyzierały senliwie ciemne oczy ocienione łukami gęstych brwi.

Gdy barszcz zadymił się na stole, „hrabia“ ozwał się niedbale:

— Niezłą kolacyjkę stawił wczoraj pan Seweryn. Pija, bestja, tylko „wdowę“ Cliquot jak król Edward. Ma podniebienie. Rasowy! Trzeba mu to oddać. Ale ty na winie się nie znasz.



— Głowa mnie strasznie boli. Wmusili we mnie kawę i likier. Ten nieznośny dym... hałas. Tak późno wróciliśmy do domu.

Jadła niby pod przymusem, zacichła, zagasła.

Ubiegły wieczór pozostał w umyśle jej upostaciowany w nadzwyczajnym kapeluszu szczęśliwej u złotej młodzieży aktorki Gawlikowskiej. Nie zazdrościła teatralnej i gabinetowej koleżance pochodzenia ani zgoła niczego, już dla tego, że w apatji duchowej rzadko tylko i przelotnie wznosiła się do uczuć silniejszych, lecz ów czarny kapelusz z królewskimi ponsowemi pleureuse'ami, pachnący Paryżem, budził w jej porcelanowej piersi dreszcze dojmującej pożądliwości.

— Jaka ta Gawlikowska krzykliwa!  
— mruknęła.

Dużym zasobem intuicyi wyposażony



„hrabia“ odgadł co dzieje się w duszyczce Aliny i w myśl jej rzekł:

— Lafilistyczny \*), ordynarny tłuk!...  
A zuchwałę to jak trzyrublówka.

W gruncie rzeczy podziwiał Gawlikowską za jej sztukę „brania“ mężczyzn z miejsca i gniewały go jej sukcesy, jako należące się jego Linie.

— Gdyby nie ja, nigdy w życiu nie była byś w tak dystyngowanym towarzystwie. Nie licząc mnie: jeden hrabia, jeden dobry szlachcic, no i ten meches, ale bogaty. Uważałaś jak hrabia Józef był ze mną za panbrat? Poprostu dla tego, że uznaje we mnie familianta... Łyk, dorobkiewicz, brząkający złotem wynosiłby się nademnie, ubogiego człowieka, tymczasem prawdziwa arystokracja... Ot widzisz tu całą różnicę. Słuchaj

---

\*) = bardzo wiotka, w żargonie zakulisowym.



---

— Słowo honoru, prześlicznie ci w tej sukience. Umiesz ją nosić. Voilà tout!

I sięgnął zgrabnie po medalion.

— Czeka! Muszę wpierw... — poczęła Lina i wyjęła z pod szkiełka w medalionie miniaturową podobiznę męskiej głowy.

Zerknąwszy na fotografię, hrabia wyeskamotował jej w mgnieniu oka z pod rąk medalion.

— Cóż robi ów sławny pendzlarz? — bąknął, rozciągając ironicznie wyraz „sławny“, niby skrzypiącą harmonikę i, nie ciekawy odpowiedzi, zabrał się raźnie do mięsa.

— Jak to on... maluje — odparła Lina sennym tonem, pytania takie zbywając zawsze nic nie mówiącemi lakonizmami, bo życie wyrobiło w niej kamienną skrytość.

Nawet przed mistrzem swego życia, tała się literalnie z wszystkim, zamykała przed nim wszystkie sprawy, gdzie nie wchodził

---

w grę. Ale hrabia sam wiedział wszystko, co było mu potrzeba.

Lina nie wzięła już nic w usta, zmartwiona rozstaniem się z złotym medalionem. Przykrość wszakże roztapiała się powoli w rezygnacji.

Zapytanie o malarza było li tylko wstępem do rozkazu, podanego w formie nie-dbałej:

— Pewnie pójdziesz do niego dzisiaj?...

Podkreślił to szybkim, imperatywnym spojrzeniem, które przeszło ją na wylot i serduszko ptasie przyprowadziło o drżenie.

Ponieważ pan Seweryn i jego przyjaciele nie „reagowali“ na piękną acz zgasłą Linę, trzeba było wysłać ją do niezawodnego malarza, który tymczasem, *faute de mieux*, nie zawadzał hrabiemu, a niejednokrotnie już leczył go za pośrednictwem Liny z okropnych suchot kieszeniowych.



---

Lina rozumiała doskonale, że musi pójść do malarza po pieniądze i odrazu powzięła to postanowienie, które przed chwilą było jeszcze od niej dalekiem. Cierpiała na chroniczną, do ostateczności posuniętą niemoc woli tak, iż była literalnie automatyczną lalką poruszaną przez przyzwyczajenie, nałóg a nakręcaną ręką hrabiego.

W pierwszych czasach znajomości z malarzem coś jakby miłość, z zadowolenia miłości własnej i próżności zrodzona, zapaliła się w jej łonie, roświetliła ją, upiększyła i ożywiła w posadach. Niebawem jednak przygasała w przyrodzonej anemji i niemocy uczuciowej; podnosił się w niej tylko raz blask sympatji, mglistego oczekiwania i nadziei, że z jego strony spotka ją coś bardzo dobrego, raz lekceważenie i pogarda dla człowieka, który ją kochał. Kochał prawdziwie, głęboko. Ją!!



Ta prawdziwa miłość malarza dokuczała jej nieraz, bo wkładała mu w usta ty-rady poważnych słów, przestrogi, upomnie-nia. Uprzykrzywszy sobie te „kazania“, ozwała się w nadziei, że kochanek zwolni ją dnia tego od wizyty w pracowni:

— Nieznośny ten malarz!

— Ba! Głupiec malowany!... Cała jego sława sztucznie sfabrykowana przez baby i tę trochę pieniędzy co ma. Taki szlachetka zagrodowy! Świszczypałka!

Począł operować wykałaczką spróchniałe zęby.

— Migrena mi dokucza... Nie wyjdę dziś z domu — ośmieliła się Lina.

— Idź do niego!

Po długim milczeniu Lina absolutnie dnia tego wyczerpana i bezsilna, szepnęła raz jeszcze błagalnym tonem:

— Ah, głowa mnie tak boli...





---

Nie słysząc tego niemal, pan Tadeusz zapalił papierosa i zamyślił się nad swemi spekulacjami kawiarnianemi, a zwłaszcza nad młodą, niby-aktorką, skończoną histeryczką, która poczyniała podlegać jego wpływowi „ślicznie“. Nie rozczulał się on byle czem.

Dawniej, nim Alina dzięki przejściowym faworom dyrektora Kellera uzyskała skromne stanowisko na scenie drugorzędnej, jeździła z nieślubnym swym mężem i wędrowną trupą po prowincji jako „pani dyrektorowa“ i wtedy zdarzało się, że gdy afery drużyny szły źle, „hrabia“ kułakiem walił ją po twarzy, bryzgał pomyjami najplugawszych epitetów, jeśli nie chciała „wyjść“ do oficerów lub paniczów, czekających w gabinecie na „artystki“. Bił ją, targał za włosy tak, iż w jego szkole przyswoiła sobie stereotypowy, słodkawy uśmiech

---

na powitanie przygodnych kochanków i pokrywała nim istotny, wrodzony wstręt do takich amorów.

Ale z drugiej strony „hrabia“ miewał gest arystokratycznej grandezzy; gdy pewnego razu Lina otrzymała od bogatego obywatela ziemskiego dwa tysiące rubli (które jako pani dyrektorowa musiała natychmiast w całości złożyć w ręce dyrektora), hrabia zapłacił jej kostjum i ofiarował bransoletkę, za którą pozostała mu wdzięczną jeszcze wtenczas, gdy bransoletka koleją wszystkich jej klejnotów, utonęła w czeluściach „góry litości“.

Zajęty ważniejszymi sprawami, niż jej zdrowie, pan Tadeusz wybiegł myślami poza obręb ich domowego ogniska. Po chwili jednak, wybierając się na miasto, zerknął w jej twarz i uderzony jej widoczną słabością, zakomenderował:

---

— Siadaj w fotelu!... Z tym babskim bólem głowy! — mruknął przez zęby.

Gdy Lina automatycznie zajęła miejsce w fotelu, począł rozcierać dłonie.

Przymknęła powieki, skłoniła głowę w tył i z lekko rozchylonemi wargami, z poza których wyzierały alabastrowe zęby, spoczywała nacichła na krańcach bierności, jakby u wrót snu ostatniego — śliczna jak umierający kwiat, jak Alina zabita ręką siostry, martwa na paprociach.

Spokój wielki schylił się nad nią i gasił słabo tlejącą się iskierkę jej żywotności.

A on podłożył jej pod głowę kolorową poduszkę z sofy i, stanąwszy przed nią, rzekł szeptem:

— Zamknij oczy!

Poczem złożył miękko ciepłą dłoń na jej czole, trzymał ją tak chwilę, aż wreszcie oderwał nieznacznie i począł przesuwac ją

---

powoli, nie zmieniając pozycji ręki, ponad jej zagasłą twarzą, szyją, piersią, prowadził ją tak nad jej ciałem a, doszedłszy do stop uniósł raptownie i znowu lekko do czoła jej przycisnął, by powtórzyć eksperyment magnetyzerski raz jeszcze i drugi.

Między brwiami jego uwydatniała się pionowa zmarszczka, skupienie znamionująca, piwne jego źrenice, podkute czarną obwódką, przywarły się do jej lic, towarzyszyły posuwającej się ręce, a ona spoczywała bez najmniejszego ruchu, nikłym tętnem życia poddając się władzy swego mistrza.

Gdy hrabia odstąpił w bok i zapalił papierosa, obojętny na wynik leczniczego procesu, Lina rozwarła oczy nieśmiało, z pewnym zdziwieniem rozejrzała się wokoło, szukając go wzrokiem, i chwilę siedziała, zbudzona z eterycznego półsnu, skończenie cicha jak mara.

---

Odetchnęła głęboko.

— Lepiej mi... Ból głowy ustąpił... zupełnie.

Wyszła do sypialni, by przejrzeć się w zwierciadle.

Hrabia opowiadał nowinki z kawiarni, pokręcił się trochę i sięgnął po kapelusz.

Żegnając się z nim, Lina jak zwykle pocałowała go w rękę i wróciła do lustra.

---

---

## II

— Lino, Lino serczna moja, błagam, zaklinam cię na wszystko, dźwignij się z tej martwoty, z tego upadku, tej nędzy, tego błota. Wyrwij się jednym szlachetniejszym odruchem z tych niepojętych pętów hańby, z tych szpon, stań na czystym gruncie!... O! gdyby miłość cuda robić mogła, byłbym dawno już tchnął w ciebie iskrę życia takiego, że byłabyś wyrosła ponad siebie samą, uniosła śmiało głowę, spojrzała nareszcie



---

własnymi oczyma na świat, na swe położenie i odrzuciła od siebie przeszłość jak łachman brudny... Ale ja nie mogę nic uczynić dla ciebie; muszę patrzeć jak giniesz, zapadasz się niechybnie w kałużę ostatecznej zagłady, muszę patrzeć bezbronny, kochając cię całą, najwyższą, szaloną potęgą mej duszy, i tarzać się w rozpacz, zabijając się w strasznej piekła udręce... Nic nie mogę już uczynić dla twego ratunku. Próbowałem wszystkiego i wiem, że ani miłość moja bezbrzeżna ani pieniądze nie wyrwą cię z jego mocy. Ani pieniądze! Bo dziś opuściwszy ze mną to środowisko ohydne, jutro wróciłabyś w nie na jego skinienie, tęskniąc do jarzma, do poniżenia i zgnilizny — póki sama nie wykrzeszesz z siebie tyle światła, by przekonać się nareszcie, że błoto jest błotem, nikczemność nikczemnością, podłość podłością. Póki nie uświadomisz



sobie faktu, że on niszczy cię, upadła, zabija, że jesteś poprostu w rękach tego wampira skarbonką.... A jeżeli nie możesz wykuć z kruszczu swej istoty tyle światła rozpoznawczego, nie możesz zdobyć się na tę trochę charakteru, to tylko miłość mogłaby wywieść cię z tej niewoli bisurmańskiej — jeden, jeden rzetelny odruch serca... Lino, Lino śliczna moja, gdybyś przez jeden moment była kochała mnie rzetelnie, całym, całym sercem — już dawno nie byłabyś nałożnicą i niewolnicą, lecz kobietą — ukochaną, ubóstwianą moją kobietą. Obudź się z letargu do miłości, do szczęścia.....

Kłęcząc u nóg jej, malarz rozświetlony zenitową miłością, rozśpiewany na najpotężniejszą nutę erotyczną, modlił się do jej serduszka, rzucał jej kawały swego krwią żywą ociekającego serca i płynęły mu z piersi akordy i biły z twarzy blaski takie, że





---

marmur byłby ożył i Galatea zstąpiła z piedestału rozkochana.

Tymczasem Lina wodziła zwykłym, przygasłym wzrokiem po jego obliczu, zauważyła, że wąs miał dnia tego niefryzowany, potem podpadł jej kilim, na którym klęczał przed nią, jego piękne barwy i deseń. Raz i drugi coś jakby uśmiech przeleciało przez jej duszyczkę wobec tak płomiennej miłości, z kaskady słów jego gorących wpadło kilka zwrotów w pamięć aktorską a ostatecznie grymas niezadowolenia i urazy mignął po jej licach. Nazwał ją „nałożnicą“!

A on, pieszcząc jej ręce w dłoniach, paląc ją żarem oczu niebieskich mówił jeszcze, w smutek zapadając bolesny:

— Kiedyś marzyłem, że będziesz moją, istotnie moją sercem całym, że potrafię ogrzać cię swoją piersią, uwikłać w wonne powoje mej miłości, wynieść w mój świat... Dzi-

---

siaj sny takie nie nawiedzają mnie już prawie wcale, nie marzę o tem. W twoim własnym interesie błagam cię: ratuj się, chwytaj moją rękę — ostatnią swoją deskę ratunkową... Lino, ja ci zapewnię byt spokojny, dam ci pogodę i zdrowie, wszystko to bezinteresownie, niczego zgoła nie oczekując w nagrodę. Będziesz wolną, możesz oddawać się komu zechcesz, rozporządzać sobą, byleś zerwała z nim jak z piekłem i ohydą. Wołam do ciebie nie: „kochaj mnie!“ lecz: „miej litość nad sobą!“... Już dzisiaj nie kocham cię jak oszołomiony kochanek żądny twego ciała, ślepy na wszystko, lecz raczej jak ojciec bezsilne, bezradne dziecko, które więdnie, tonie w jego oczach... Więc nie dziw się, że z głębin rozdartego serca krzyczę jak szalony: Ratuj się! Miej litość nad sobą!...

Uśmiech przelotny otoczył jej miłą



za bies złościwy wtrącił mnie w uroczyisko przepastne? Ale tego nikt nie wyjaśni, bo tego wogóle nie można wiedzieć. Miłość jest tajemnicą tak bezdennie głęboką jak życie. Miłość to poprostu wypadek — ot taki jakby komu dachówka spadła na głowę. Czemu spadła dachówka? Czemu ta a nie inna dachówka? Czemu na ciemę tego a nie innego przechodnia? Czemu właśnie w tym a nie innym momencie?... Kto rozwiąże tę łamigłówkę, potrafi rozsnuć zagadkę miłości. Nikt inny.

Melancholja osnuła mu głowę; czuł na sobie ciężką, imperatorską rękę konieczności. Dusza jego ukoїła się w poczuciu, że tak jest, być musi i spokorniała. Przechylił się przez krawędź świadomego życia w krainę niepoznanego, jakby w czarnych głębiach stawań się wyczuwał genezę swej miłości otchłannej, niepojętej.

---

Wszystkie prośby, upomnienia i zaklęcia jego były daremne. Słowa ulatywały bez echa, treść ich nie przenikała pancerza ciemnoty i bezwrażliwości, zapal rycerski łamał się o lodowce pustki wewnętrznej. I raz jeszcze opuścił ramiona.

Powstał, westchnął ciężko i znowu padł w krzesło.

— I cóż ty na to...? — spytał.

— Ach, nie mówmy o tem! — odparła znudzona Lina. Powtarzałam ci tyle razy, że... opuszczę go, ale nie teraz jeszcze. Nie można tak prędko. Później... Zawdzięczam mu bardzo wiele...

— Co? Co?

— Bardzo wiele, wszystko... Bez niego nie wiem, jakbym była dała sobie radę... Muszę pamiętać, że dla mnie opuścił żonę...

— Bo skarbonka była pusta czy też

---

nie dawała się otworzyć. To samo gotów zrobić z tobą...

— Nie cierpię tego oczerniania biednego człowieka, pokrzywdzonego przez niewdzięczników! Oczekujesz, bym cię kochała, a dokuczasz mi... Jak mogłabym porzucić go właśnie teraz, gdy... interesy jego idą tak źle? Z pewnością postąpiłoby tak wiele kobiet, n. p. taka Gawlikowska, ordynarny tłuk, ale nie ja... Nie możesz tego wymagać odemnie...

— Za co ta wdzięczność? Przecież nie byłaś ulicznicą, nie przymierałaś z głodu, gdy poznał cię młodziutką dziewczyną. A t. z. kariery nie zrobiłaś dotąd... właśnie dzięki jemu nie zrobiłaś... To mu zawdzięczasz!

— Dosyć tego! — wpadła oburzona — Wszyscy na niego psy wieszają jak na ostatniego opryszka! Dlaczego? Głównie



---

dla tego, że nie ma pieniędzy lub z zazdrości. Ten podły Sznajder rok temu jeszcze przyszedł do niego i, nazywając go kochanym Tadzinkiem, pożyczył od niego smokingowe ubranie. Myślisz, że mu oddał? Przeni-gdy, ale za to obszczekuje go. Powiada o nim ten podlec, że zdałby się na błazna do jarmarcznej budy! Niby to Sznajder wielki artysta! Przez kochankę dostał się na dobrą scenę i teraz Tadeusza nie zna...

— Pokrzywdzona przez ludzkość cnota!... szepnął do siebie Stanisław z przekąsem.

— Z pewnością ludzie krzywdzą go, za jego dobroć obrzucają błotem!...

Błyskawice migotały na chmurnych li-cach artysty, zaciskał ręce kurczowo, by nie krzyczeć, nie jęczeć, nie walić głową o mur w szalonej rozpacz. Wił się na torturach zazdrości, tarzał w malstroemie wobec nie-

---

uleczalnej ślepoty tej nad wyraz kochanej kobiety, co w zamian za bezbrzeżną miłość dawała mu dowody miłości dla innego, dla nikczemnej kreatury. Był w jej oczach podły, gdyż nie uznawał wielkości i szlachetności „hrabiego“, a wyrzutek ten podły był w jej pojęciu znakomitym osobnikiem. Niepojęty daltonizm!

Milczenie ciężkie padło między nich, otwierając widok na dzielącą ich przepaść otchłanną.

— Jak ty go kochasz bezmiernie... — wyszeptał w czarnej udręce serca.

— Wcale go nie Kocham, tylko mam dla niego wdzięczność, tem więcej, że wszyscy odsądzają go od czci i talentu. Przecież Tadeusz pochodzi z wysokiego rodu! — wyrzuciła wreszcie z emfazą i fanfaronadą, niby najwyższy atut zamykający grę, i zerknęła złem okiem w sympatyczną, a bole-



---

sną twarz malarza, by przekonać się, czy najsilniejszy jej, armatni argument zrobił na nim oczekiwane wrażenie. A gdy ujrzała skurcz piekielnej ironii, szepnęła sobie w duszy: podły....

— Położenie bez wyjścia... — wyszeptał po chwili Stanisław złamany do siebie i powstał z gestem bezradności.

Uciekając wzrokiem od jej twarzy, skazanej gniewem, i w trywialnem zajęciu szukanym pewnego uśmierzenia strasznej rozterki, począł przygotowywać herbatę. Nalał spirytusu w małe naczynie blaszane umieścił je pod mosiężnym kociołkiem, wiszącym na zwieszającym się jak gałąź pręcie żelaznym, nasypał herbaty w imbryk japoński i zapalił okowitę, zajęciu temu oddając się z pochłaniającą skrupulatnością.

— Nie masz migdałków? — spytała Lina zwykłym tonem.

— Są w komodzie. Weź sobie!

— Nie powinnam może jadać tak dużo migdałków, bo od tego się tyje.

Zbliżywszy się do starej, mahoniowej komody, wpierw spojrzała w wiszące nad nią zwierciadło, by upewnić się, że gniew nie uszczknął nic z kraszy jej twarzy, zaczęła sięgnęła do szuflady, opowiadając jakiś skandalik zakulisowy o Gawlikowskiej, którą dnia tego nienawidziła.

Stanisław postawił szklanki z herbatą na skraju stołu, zarzuconego tubkami z farbami, pendzlami i paletami i objął malarzkiem okiem jej postać.

Zachwyty przysłonił burzę różowym obłokiem i czuł, że kocha ją z jakąś przeżajającą, tragiczną uporczywością potępieńca, miłością w rdzeń jedności jego wkorzenia, jak śmierć silną, której cierpienia i ka-

---

tusze nie wykorzeniały. Przeciwnie — pod-  
sycaly, uszlachetniały. Cierpienie bowiem  
— praźródło uczuć, z którego świat wynu-  
rzył się cały — pogłębia miłość, krystalizuje  
w brylant. Dlatego to u nóg niegodnych  
pustych lalek tak często ścielą się cudowne  
perły uczuć, dlatego więcej ideałów oddano  
kurtyzanom na poniewierkę aniżeli kie-  
dykolwiek ofiarowano kryształowym, świe-  
tlanym kobietom.

— Śliczna jesteś jak kamelja — szepnęła  
w upojeniu — A jednak, jak „on“ dla ciebie,  
ty jesteś dla mnie przekleństwem.... I mu-  
sisz niem być dla człowieka tak bardzo jak  
ja uduchowionego, gdyż przełamałby on  
prędzej wrota piekieł aniżeli obudził tve ser-  
ce... Jesteś puszką Pandory.

— Ach, jak poetycznie! — bąknęła,  
chrupiąc migdałki i dodała zdawkowo: Ja  
cię kocham, gdy mi nie dokuczasz. Ale nie

---

bądź taki ponury! Często umiesz być tak zabawnym!

Siadając naprzeciwko niego, musnęła go dłonią po twarzy, tym karesem wynagradzając go w swem pojęciu hojnie za miłość. On oceniał trafnie takie pieszczoty, dzięki nieomyślnej, jasnowidzącej wrażliwości swego wysubtelnionego organizmu nerwowego, jednakże dotyk jej ręki magicznym czarem opromieniał mu duszę. Przytrzymał jej rączkę i okrywał gorącemi pocałunkami.

— Najładniej ci jednak w tym granatowym kostjumie — bąknęła, poddając biernie rękę jego uściskom.

Przypomniała sobie wszakże, w jakim przyszła celu i, po chwili namysłu, usiadła na jego kolanach ostrożnie, by nie pognieść nowej blado-niebieskiej sukienki.

— Będziesz na sobotniej premierze?

— Nie wiem jeszcze.

---

— Zobaczysz mnie w ślicznym, empirowym kostjumie blad różowym. W tym tygodniu jestem wolna... — dorzuciła znacząco, oplatając jego szyję leniwie — Jeżeli chcesz, przyjdę jutro na cały wieczór do ciebie. Albo dzisiaj...? Nie mrocz się tak! Czego ty chcesz odemnie?... Masz wszystko, wszystko, czego może kto zapragnąć...

— Zaprawdę byłoby to „wszystko“... gdybym cię nie kochał. Ale ponieważ cię kocham, nie mam — nic. Rozbijam sobie głowę, szturmując do nieba i do piekła o cud...

Przytuliwszy się delikatnie do niego, Lina dotknęła wargami jego czoła myślącego, markując bez przekonania miłość niby na próbie, i zagadnęła chłodno:

— Chcesz jutro?...

— Nie, Lino, nie! — wyrzucił Stani-

---

sław z odcieniem goryczy, lubo oplatając ramieniem uroczą lalkę, i niby świst huraganu przeleciała przez niego żądza szalona i dzika, by powalić ją, zedrzyć z niej wszystko, pochwycić za gardło, skuć w śmiertelnym uścisku i — nareszcie usłyszeć jej głos wibrujący nutą szczerego, potężnego uczucia.

Nigdy bodaj nie udało mu się wykrzesać z tej anemicznej piersi ani jednego dźwięku uczucia czystego, szczerego; wszystko było połowicznym, przelotnym, małosłownym lub sztucznym, chwiejnym, kabotyńskim. Niechajby strach obudził jej śpiącą, zahypnotyzowaną istotę! Niechajby charcząc skonała pod jego palcami — zwyciężona, wydarta z pod władzy wampira...! Niechajby skończyła się ta męka, wszystko!...

— Już nie mogę teraz nigdy zapomnieć na chwilę, że wprost odemnie idziesz do...



---

Nie! Później, gdy „jego“ nie będzie na twym widnokręgu, jeśli to kiedy nastąpi...

— Bo chodzisz za tą tłustą Anią!!  
Zdradzasz mnie!

— Gdyby i tak było, nie mogłoby to ani dotknąć cię, ani, niestety, wpłynąć na zmianę mych uczuć dla ciebie.

— Ja nie chcę, abys ty romansował z takim podłym tłukiem! Wstrętna, ulicznica prawie, do której nie powinienes się nawet zbliżać!... Nie chcę mieć takiej zastępczyni.... Gdybyś ją miał malować, tę tłustą gęś, lub w mych oczach całować po ręku, moja noga nie postanie u ciebie więcej... Nie dam się tak obrażać!...

— W miłości własnej...

— Mam honor! — wyrzuciła, powstając z jego kolan i poczęła opowiadać o Ani skandaliczne rzeczy, oczerniać ją zapalczywie. Ale on słuchał z kamienną obojętno-

---

ścią; zadraśnięta próżność kobieca nie mogła zrobić na nim wrażenia. Tylko okrzyk serca byłby rozbroił go i wzruszył.

— Powiedz mi — zagadnął po chwili — co ty poczniesz, jeżeli Keller ogłosi bankructwo i rozwiąże teatr lub odstąpi go komu innemu a nowy dyrektor nie zaangażuje cię?

— E, tak źle nie będzie.

— Dajmy na to. Bardzo rzecz prawdopodobna. Co poczniecie? Tadeusz nie zarabia bodaj nic, więc cóż stałoby się, gdybyś na pewien czas pozostała bez gaży? Już dziś nie rozumiem, jak potrafisz utrzymać go. Gaża twoja wynosi właśnie tyle co czynsz mieszkaniowy....

— Dajmy temu pokój! Nie nudź!

— Ale odpowiedz, co-byś poczęła w razie, gdyby Keller...

---

— Przyszłabym do ciebie!... — palnęła jak z pistoletu, by zamknąć mu usta.

— Z nim.... — bąknął cierpko malarz.

— Już znowu poczynasz z tej beczki!?

Spozierając przez okno, wychodzące na ożywioną w ten piękny dzień letni Aleję Ujazdowską, robiła spostrzeżenia nad przemykającymi się tualetami, wciągając powoli rękawiczki. A on umilkł, czując, że znowu uderzył głową o jakiś granit, osłaniający miłość.

Wreszcie Lina odwróciła się:

— Jeżeli nie chcesz, bym została na wieczór jutro, to pójdziemy razem na spacer. Dobrze?

— Błado wyglądasz, Lino, począł z głęboką troskliwością. Potrzeba ci wód albo gór, ale cóż, kiedy nie udało mi się nigdy wyrwać cię z miasta, nawet na kurację konieczną, jak sama przyznajesz.

---

— Jeżeli nie można...

— On nie pozwala...?

— Chciej mnie zrozumieć, że ja teraz nie mogę go opuścić, nie mogę... Później...

— Przyznam ci się, że nie rozumiem... Nigdy nie mogłem pojąć, co to za uczucie, co to za siła trzyma cię w absolutnej, niewolniczej zależności od niego. Mówiłem sobie: „poprostu miłość ogromna“ i chwilami może się tak wydawać, jest tak może nawet — do pewnego stopnia. A jednak wyczuwam w waszym stosunku coś enigmatycznego, co tę miłość twoją i uległość i ślepotę i... twoją bezprzykładną bierność uzasadnia i cementuje. Jest coś czego nie rozumiem zgoła... Gubiąc się w rozmyślach, dałem kiedyś przystęp zgoła szalonemu przypuszczeniu....

---

— Ależ tu nie ma nic do wytłomaczenia! — zawołała.

— Jest zagadka. Taka miłość bowiem, która przykuwałaby cię do nóg jego tak niewolniczo, nie licuje z tobą. Na dzień twej miłości do niego drży jakiś lęk tajemniczy...

— Nie pleć byle czego!

— Tak jest, Lino. I to naprowadziło mnie na podejrzenie, że on przykuł cię do siebie, zamienił w posłuszne swe narzędzie... jakimś sposobem... Oblekając się w milczenie, podsycasz falę przypuszczeń. Nawet do mnie nie masz zaufania. Może lękasz się dotknąć tej materji...

Utopił wzrok badawczy w jej nieco odwróconej twarzy zmaczonej, zdradzającej pewne zaniepokojenie. Kiedyś gubiącemu się w domysłach i dociekaniach strzeliła myśl, że „hrabia“ popełnił jakąś zbrodnię i w Linę wmówił, iż była jego spólniczką i tak zamk-





---

Kazi i dowiedzieć się o krawczynię, bo Matylda zdarła mnie haniebnie. Kazała mi zapłacić dziesięć rubli więcej niż się zgodziła, mówiąc...

— I zapłaciłaś?

— Nie jeszcze... Powiedziałam, że w tych dniach...

— Dzisiaj właśnie nie jestem przy pieniądzech — rzekł Stanisław, rozumiejąc, że historia z dopłatą jest li tylko niezgrabnym odezwaniem się do jego sakiewki.

— Zobaczymy jak stoi z tą kasą — rzekł, zajrzał do szuflady biurka, do portmonetki. — Zostało mi wszystkiego tylko dwadzieścia trzy ruble z kopiejkami. Weź tymczasem dwadzieścia.

— Ale sam potrzebujesz... — bąknęła aktorka, chowając banknoty powoli i buzia jej ułożyła się do półuśmiechu. Pieniądz działał na nią rozświetlająco. Zresztą czuła,

---

że nie wolno jej powracać do domu z pustymi rękoma.

Złoto miało znakomitą właściwość podnoszenia temperatury jej serduszka — na pewien czas, nietylko dla tego, że zaspaka-jało jej i kochanka potrzeby lecz także z tej przyczyny, że wyposażało Stanisława rysem imponującym. Z wyładowanym portfelem stawał się, niezależnie od swej tajności godniejszym jej sympatji. Jakoż malarz, znając ją na wylot, określił jej takse na czułe objawy i słowa — kiedyś w piołunowem rozgoryczeniu rozszarpanego serca mówiąc sobie, że włożywszy w skarbonkę „hrabiego“ banknot dwudziestopięć rublowy wydobędzie z tego automatu czarowny uśmiech i łaskawe spojrzenie — za papier pięćdziesięci rublowy dostanie mu się słodkie „kocham cię!“ za sto posłyszcy nawet: „ciebie jednego kocham!...“

---

Sardoniczny uśmiech przeszywał go, ile razy sprawdzała się jego doskonała znajomość psychologii Liny i otwierał się wtedy przed nim widok na cały bezmiar jego sercowej niedoli. Uświadamiał sobie bowiem, że ona sama z siebie nic mu nie niesie w dani- nie i czuł jak marną jest dola mężczyzny kupującego czcze odbłyски miłosne od kobie- ty, jak wszrubowany przez fatalne uczucie w tryby zgodnej maszyny tych dwojga osób strawia się w mękach, nikczemnieje i wala w bagnisku.

Dramat sercowy rozgrywa się tam, gdzie nienawiść i pogarda walczą o lepsze z miłością, szarpia człowieka jak wichura gałęziami brzozy długowłosej. A uczucia te skłębione wrzały w nim na myśl, że bezdu- szna ta aktorka, potrzebując pieniędzy dla tamtego, ofiarowywała mu swe ciało.

A jednak płacił jej — za to, że swą obe-

—————  
cnością wносиła promień cudnej złudy i zjawy w pustelnię jego serca.

Na wyjściu jej przycisnął do ust jej rękę, jak ona całowała rękę swego pana, unoszącego jej klejnot do lombardu. A Lina złożyła na twarzy jego zdawkowy pocałunek — za dwadzieścia rubli.

Gdy znikła, artysta nasycony w pragnieniu zmysłów wzrokowego i słuchowego poczuł świeży przypływ zapału do pracy, wyciągnął sztalugę i począł malować. Rysy jego twarzy, przed chwilą jeszcze powleczone melancholją rozpogodziły się. Miał w duszy odświeżoną woń ideału.

Na chwilę tylko myśl, przykuta do płótna, uleciała w przepastne mroki jego cygańskiego romansu i szepnął pod trzema adresami cmentarnie:

— Nędza... nędza... nędza....

---

---

### III

Tak zastał go wieczór szary. Zajrzał w okno, pogasił blaski, począł błąkać się po kątach, roztaczać w pracowni długie, żalobne gazy pajęczynowe, rozlewać dokoła kojący smętek.

Szum miasta bił jednostajnym szmerem w okna.

Stanisław odłożył paletę, siadł na otomanie, zapalił fajeczkę i śledził obłoczki dymne, rozciągające się w fantastyczne zygza-

---

ki, w powłóczyste arabeski i zdało mu się, że tak uczucia ludzkie rozplywają się w nieobliczalne enigmy i omamy i zmieniają ostatecznie w wielkie nic. Cóż zostało z jego dawnych miłości?... Trochę popiołów, jak w fajce. Ale teraz...?

Zaszył się w siebie, chował w zacisze swej piersi i zbliżył się do rozdartej swej rany.

Szedł on przez życie dziwnie sam. Zrządziły tak losy — pewna nieufność do ludzi, skrytość istot lękających się, by motłoch nie bezczęścił ich, nie pluł im w duszę, i nieśmiałość nieobytego w „towarzystwie“ artysty, który pędzi życie w garsonierach, pracowniach i garkuchniach paryskich. Samoistny talent twórczy, powoli dojrzewający, i swoiste pojęcia artystyczne, które przy pomocy blagi, płytkości i rozpędu zdobywczego byłyby zdobyły mu niebawem grono





---

wielbicieli, odstręczały od niego środowisko artystyczne tak, iż stał niezrozumiały — nieodkryty przez nikogo. Żyjąc tylko zewnętrzną skorupą duszy, sprawdzał na sobie słowa: „jeżeli nie jesteś pospolitym — wszędzie możesz być na pustyni.“ A gdy zawitał rozgłos, wysunął go na świecznik i ludzie poczęli cisnąć się do nowej gwiazdy, było już zapóźno, by miał przeobrazić się w wylanego człowieka, zaklimatyzować w odpowiedniej dla siebie sferze. Pozostał w istocie swej samotnym cyganem.

W pustelni duchowej męźniał jego talent i potężniała harfa uczuciowa, pełna strun sentymentalnych, słowicznych, idealnych, którą więził w piersi pod maską taniej brawury i sceptycyzmu zapożyczanego od cyganerii. I tak zbliżył się do czterdziestki — do swego niebezpiecznego wieku męczyzny, gdy wszystko w nim, osią-

---

gnąwszy szczybel dojrzałości skończonej rozpręży się, rozrasta i domaga imperatywnie rozszerzenia ram bytowania wewnętrznego, — wyżycia się do dna. Amant znudzony sobą, znużony zajmowaniem się li tylko sobą, wznosi się po nad egoizm i dyszy pragnieniem przelania swych zasobów uczuciowych i swego interesu życiowego na ukochaną głowę, chyli się w ocean kochania bez miary, bez granic.

A Stach był urodzonym kochankiem najczystszej wody — amantem, który w miłości szuka li tylko — miłości, łaknąc złotych drgnień serca bezinteresownego i w blaskach tych znajdując szczytową, bezcenną radość życia. Miłość była dlań — jak powiedziałby strożytny ateńczyk — celem dla siebie i w sobie.

Wtedy stanęła na drodze jego Lina.

Padł nań urok, rzucił się w miłość tę





---

dnej kryje się suma erotycznych jego zachwyceń i oczarowań.

Zniżył się do niej i — cierpiał, daremnie starając się wykrzesać z „porcelanowej lalki“ iskrę szczerego uczucia, mocą którego wywiodłby ją z kałuży i postawił na czystym gruncie. Miłość splątała się, niemal utożsamiała z cierpieniem. Czasem zęgnął ją w myślach i znowu wracał do niej, kochając ją raz taką jaką mieć ją pragnął, raz taką jaką była, kołatając się między kochaniem siebie w niej a kochaniem jej miłością troskliwego ojca. Ona wydobywała z jego lutni sercowej całą skalę najsprzeczniejszych uczuć, od ekstazy miłosnej do żrącej, piekielnej nienawiści, od zorzy zachwyków do kirów pogardy.

Lecz przeważała miłość z najpiękniejszych kwiatów oddania i poświęcenia uwita. Spozierał na nią niby na słabe dziecko opętane, nieszczęśliwe, ciemne. Ufał, że



---

z chwilą, gdy wyzwoli ją z pod wpływu „hrabięgo“, Lina oplecie dziecięcym ramieniem pierś swej podpory życiowej, złoży na niej kwiatuszki swego afektu i życie z nią będzie pogodnem, miłym, a nawet czystem.

Tkwiły w niej przecież pierwiastki lepszych skłonności, których nie zdołało wykorzenić ani włóczęgoskie życie komedjantów, ani zazierająca w oczy bieda, ani nawet jej mistrz, krzewiciel deprawacji. Lubo zbrukana odwracała się od szampańskich uciech, wzdrygała przed frymarką cielesną.

Ile razy hrabia wyjeżdżał i uwalniał ją z pod swej władzy, Lina daleka od poszukiwania kochanków garnęła się do malarza, niejako wtulała w kącik jego pracowni i wypoczywała po gorączkach i mękach psiego, wstrętnego bytowania. W ciszy ciepłego ogniska promienowała cichem zadowoleniem, przeobrażała się niepostrzeżenie dla siebie.





Występował wtedy zasadniczy jej wstręt do roztarganego, łajdackiego trybu życia na zmiennych wodach aktorskich, odzywały się w niej echa z lat dziewczęcych i okazywało się, że natura przeznaczyła ją nie na heterę lub bachantkę, lecz na żonę, wyczerpującą się całkowicie w zakresie domu i kumoszek, cerującą pończochy męzowskie, ucierającą dzieciom noski i tak wegetującą na cichej fali burżuazyjnego szczęścia.

Lecz czyliż nie było to ułudą? Chwilowym przelotnym nastrojem aktorki?... Przecież Lina zdała się w całokształcie swym jakby z młgawic rozwiewnych, różanych utkaną, zgoła nieuchwytną, nieobliczalną — jako istota nieistniejąca.

Jedno tylko było w niej stałym i niewzruszonym: przywiązanie do hrabiego.

Jak zwać tę moc tajemną, co w, słabiu-tką, machinę ludzką, wyzutą z woli, z cha-



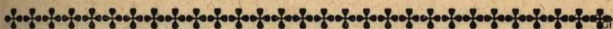
---

rakteru, z uczucia wprowadziła jedną granitową bryłę odporności?...

Jak wyrwać ją z pod klątwy tego uczucia? Jak unicestwić zabójczy wpływ hrabiego? Jak?!...

Sto razy Stach walił głową o mur tego zagadnienia, gotów djabłu zaprzedać duszę, przejść przez wszystkie męki hadesu po talizman moc odczarowującyą posiadający. Wzywał piekło i niebo na pomoc, szalał w beznadziejnej wściekłości, miotał się na myśl o „nim“ — tej czarnej postaci, co niby uosobienie zła sterczała gdzieś na przeciwległym biegunie i urągała mu cyniczną maską, trzymając dłoń czartoską nad głową kobiety, która pod cieniem jej bladła, gasła, umierała.

„Lino, miej litość nad sobą!...“ krzyczało w nim wszystko, grało z potęgą strun cudotwórczych, orfeuszowskich i serce jego



wezbrane jak morze w przeogromne fale hu-  
czało w żalości, w rozpaczy wobec tego, iż  
wołanie takie przepyszne nie kruszyło skały  
zapierającej mu drogę do niej — tej skały,  
która wznosiła się na piaskach bezsilności  
niby sfinks w tajemniczości swej przera-  
żający.

„Miej litość nad sobą!...” wołał do niej,  
modlił się do ciemnej, dziecięcej kobiety,  
a sam, światły, wielki artysta nie miał jej  
nad sobą... Chciał ją słabą wypłatać z cu-  
chnących moczarów, a sam silny uwikłał  
się w nie beznadziejnie... Plwał nieraz na nią  
pogardą, że uwisła u stóp plugawego osobni-  
ka i spoczywała w błocie, a sam jęczał jak  
niewolnik przed obrazem bezdusznej lalki...

Snadź Lina i on dostali się w jakąś czar-  
towską pieczarę Miłości, gdzie przykutych  
do łańcucha bies włóczył po kamieniach,  
zadręczał...



---

Źle, źle!... Strasznie!

Staczał się z wyżyn swego duchownego dostojeństwa w męty przepastnego istnienia, skrzydła twórczości wielkiej słabły, obniżały się w wieczystym niepokoju, w udręce sercowej. Marniał w atmosferze lalki banalnej, często zadzierającej boleśnie o górne jego pojęcia i wyobrażenia bezmyślnością i bezkulturalnym umysłem zwłaszcza, że wносиła z sobą coś z osobistości kochanka, coś z pojęciowości kretyna i z zakulisowej sfery.

A jednak, mimo wszystko — mimo prawdę, jaką odczuwał nieraz wobec jej bezdużności, mimo nienawiść, jaka wrzała w nim na myśl, że ona przenosiła nad niego taki produkt ludzki jak hrabia, i dalej mimo, że musiał zniżać się intelektualnie i pajęczowo i zadawać kłam swemu ja — kochał ją całą potęgą duszy, kochał cień jej postaci, jej prze-

---

czucie, jej przepiękne linje, zamykające obraz jego wymarzonego szczęścia.

Drżał na dźwięk jej głosu, czcił jej uśmiech dziecięcy, rozprzegający w nim tkliwości potoki, ubóstwiał tę nieporównaną w miękkości i wdzięku linję i cudne, rozspiewane ruchy, będące ostatnim wyrazem kobiecości. Aby żyć, musiał napawać oczy światłem, jakże było nie tyle od niej samej, lecz raczej od tej innej Aliny, kochanki poczętej w jego wspaniałem sercu, której była genezą i którą przypominała mu, sugestjonowała tak, iż instynktownie uświadomił sobie za jej przyczyną swój przyrodzony ideał kobiety.

I w ten wieczór majowy opanowany przez manję erotyczną idealista zanurzył się w obłok różowy zadumy miłosnej, oplatał wspomnienie Liny wiankami uczuć pachną-

—————  
cych i — zbroił się w nowy sposób cierpli-  
wości i wytrwałości.

A Lina tymczasem spędziła pewien czas w garderobie z koleżankami, które pociągała za język, by napoić się skandalicznymi anegdotami o Gawlikowskiej. A że nie było trudno o nie za kulisami i „przyjaciółki“ chętnie dzieliły się zabarwionemi i dopełnionemi historjami o rywalce, więc niebawem zadowolona wróciła do domu.

Czekała na nią bielizna. Z wielkiem zajęciem urodzonej gosposi, Lina oglądała każdą wypraną koszulkę, przyszywała każdą koroneczkę i nabożnie składała bieliznę do dużej walizy. Zaczem zasiadła w kaftaniku przed zwierciadłem, w którym spędzała najpracowitsze i najmiłsze godziny swego życia...

Była ładna! W tem cudnem uświadczeniu żyła cała, niby w krynicy szczęścia tak,



---

iz wszystko inne traciło swój interes i swą wartość jakby odległe od niej setki mil. I była tak w sobie głęboko rozkochana, że nie stało już jej serca dla nikogo. W świetlanym obłoku poczuciu urody swej szła z lodowatą obojętnością przez życie, bez względu na to czy słało jej ono pod stopy kwiaty uczuć i poświęcenia czy głębokie kałuże lepkiego błota. Szła upojona tak dalece, że nie zauważała wcale, iż uroda ta jako kapitał życiowy, jej samej prawie żadnych nie dawała zysków. Rozkoszowała się tą swoją urodą jak dziecko zabawką, zgoła wyjątkową, zazdrości i podziwu godną, a nie wyczerpaną w swym uroku.

Zbliżała się dziesiąta, gdy zabrzmiał dzwonek i weszła do pokoju wysoka, dobrze zbudowana i elegancka kobieta z zawadajskimi piórami na kapeluszu — siostra Liny, z usposobienia wręcz do niej niepodobna,

---

bo żywa, gorąco kąpana, swarliwa, czyli jak mówiono krótko i delikatnie — pyskata.

— Dobrze, że cię zastaję! Twego faceta nie ma? Przynoszę niemiłe wiadomości; miałam dzisiaj list od ciotki, która pisze, że Józek bardzo, bardzo chory...

— Tak?! — zawołała Lina, widocznie wiadomością o bracie przejęta.

— Gruźlica... Nic z tego chłopca nie będzie.

— Ach, nie mów tak, Zośka! Ten nasz ładny, kochany Józek.... Boże drogi!

— Bardzo z nim źle. A matka nie ma pieniędzy... Gdybym ja sama jej posłała, to mi je znowu odeśle, jak wtenczas. Ty musisz od siebie samej przesłać co będziemy mogły. Ja mam tylko dziesięć rubli. Za dwa, trzy dni naciągnę mego Kazia, to pošlemy matce więcej. Może wydobędę tyle, by mo-

---

zna wysłać go do Zakopanego. Tymczasem bierz te dziesięć fajgli, dołącz od siebie papierek i natychmiast wysyłaj. Ile masz?

— Ja... nic nie mam — wyjąknęła Lina.

— Bez kawałów! Chyba masz pięć fajgli dla Józka!?

— ... Nie mam.

— Czyżby ten twój... opryszek zabierał ci co do kopiejki?! Wiesz, Lino, głupota twoja nie ma granic! Przez całą zimę jak zmokła kura łażyłaś pieszo do teatru, z teatru i znowu do teatru. Nie było kilku kopiejek na tramwaj. I tak położyłaś się do łóżka. A ten zbijobruk fundował pięćorublowe kolacje Ochnackiej, spijał likiery...

— Cicho bądź, Zośka! Już znowu przyszłaś tu z ordynarną swoją gębą!

— Ordynarną nie-ordynarną. Tobieby się trochę przydało tej „ordynarności“. Takiego łajdaka wyprałabym kopyścią po py-

skiu i wyforowała za ostatnią granicę. A ty siedzisz jak mysz pod miotłą.

— Jak śmiesz tak wyrażać się o nim!? Pracujemy oboje uczciwie, a ty co? Wstydzę się ciebie, u-trzy-man-ki!...

— Nie przychodź mi z takimi głupstwami! Utrzymanka, a ty utrzymująca... makrota! Wielka mi hrabina!... I co masz z tego zgniłego chłopca?! Kup sobie psiaka, to ci taniej wypadnie.

— Cicho bądź, Zośka!! — zerwała się Lina i próbowała stawić czoło siostrze, ale Zośka rozpuściła język jak bicz.

— Czy to ja nie żyję uczciwie z Kaziem? Dobrze wiesz, że nie zdradzam go prawie nigdy i trzymam się go wiernie. A ty dasz się obskubywać jak głupia gęś przez mężczyznę na benefis hrabiego!

Utarczka byłaby przeciągnęła się długo, ale Zośce było spieszno.

---

— Rób co chcesz! — krzyknęła. —  
Możecie razem zgnić, nie spytam się o was!  
Jeszcze z katarynką i małpą włóczyć się bę-  
dziecie po podwórzach!... Nawet dla swego,  
niby tak ukochanego brata nie masz trzech  
rubli! Jaka mi dobra siostra! Jaka u-czci-wa,  
dystyngowana ar-tystka! Tych dziesięciu  
rubli nie zostawię ci, bo jeszcze i to odda-  
łabyś swemu alfonsowi! Poślę je ciotce. No,  
baw się!...

Trzask drzwi i zniknęła jak sen nie  
— złoty. Lina zapomniała o zwierciadle, tak  
była zmartwiona chorobą brata i myślała  
czy nie dałoby się posłać mu cośkolwiek.

Długo sen nie kleił jej powiek tej nocy.

Już siny brzask wlaził do pokoju, gdy  
hrabia wrócił do domu, trochę podchmielony.

— Lino! — huknął raz i drugi na  
uśpioną, muskając rzadkie plastry włosów,  
zachodzące na skronie i ugłaskane pięknie.

---

Lina oderwała od poduszki bladą, znużoną twarz i spojrzała nań z wyrzutem.

— Lino, jutro hulamy z Sewerynkiem i z jego kompanją! Spotkałem się z nim, pytał się o ciebie... Chciał mnie zaciągnąć na kolację do Bristolu, ale odmówiłem, bo pociągałoby to obowiązek rewanżowania się...

— Już dzień się robi. Gdzie ty tak długo wysiadujesz?... — wyrzekła kobieta, wcale nie ucieszona zapowiedzią „hulanki“. Oczy jej kleiły się do snu i upadała z wyczerpania.

— A-ha! — zawołał hrabia, na pytanie jej nie odpowiadając. — Masz pieniądze?

— Dam ci jutro...

— Nie, dawaj zaraz! Rano będziesz spała.

— Dam ci jutro. Taka jestem zmęczona...





---

— Ile masz?

Lina zawahała się nim wyrzekła półgłosem:

— Pietnaście rubli.

A on szukając jej portmonetki wokoło zwierciadła, rzucił:

— Tylko?... Zobaczymy.

Jednym susem Lina wyskoczyła z łóżka; bodźca do takiego napięcia energii dodała jej chęć uratowania kilku rubli dla chorego brata.

— Ty mi nie kłam! — ryknął hrabia groźnie i, gdy Lina pochwyciła leżącą na parapecie okna portmonetkę, wydarł ją z jej rąk w oka mgnieniu.

Odsunąwszy się od niej, zajrzał do wnętrza woreczka.

— Już kilka rubli zdążyłaś roztrwonić!!...



---

blagalnem ramieniem, ale hrabia zakomen-  
derował:

— Kładź się spać i nie zawracaj gło-  
wy!... Idź do drugiego pokoju i połóż się  
tam na otomanie, bo za gorąco spać razem.  
Beksa!

Łzy gorące spływały ciurkiem po bla-  
dych licach kobiety, szlochanie tłumione  
szarpało jej pierś i bez słowa sięgnęła po po-  
duszkę, by wyjść z nią do drugiego pokoju.

— Czego płaczesz?! — strofował ją  
kochanek. — Może krzywda ci się dzieje?  
Co?!... A jak zarobiłaś te pieniądze? Po-  
wiedz!... Będziesz mi jeszcze głowę zawra-  
cała, ty małpo, psia....

Pożegnał ją gradem plugawych wy-  
zwisk i, przesypawszy pieniądze w swą  
portmonetkę, począł się rozbierać.

Lina zaś, nakryta szalem, spoczywała  
na otomanie we łzach. Bezsilny gniew, obu-

+++++

rzenie, wstręt wrzały w niej, fermentowały  
pospołu z poczuciem jakiejś zupełnej niemo-  
cy fizycznej i duchowej. Zrozpaczona, ską-  
pana we łzach, drżąca febrycznie, szeptała  
łkając:

— Rzucę się z okna, skończę to raz....  
Skończę....

---

BIBLIOTEKA  
URZĘDNI TOWI WZAJ: UB: w KRAKOWIE  
SEKCJA IV.

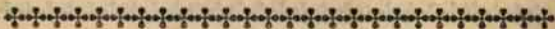
#### IV

W końcu czerwca hrabia Tadeusz zapowiedział swój wyjazd na wielką wyprawę artystyczną do Radomia i innych miast, jaką urządzał w celu szerzenia kultury po-  
społu z „przyjacielem“ i — Ochnacką.

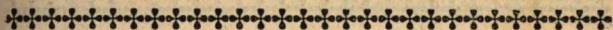
Istotnym celem tej światłodajnej imprezy było eleganckie wyeskamotowanie Ochnackiej fundusiku, jaki za namową hrabiego podniosła z swej schedy, by rozwinąć skrzydła do lotu, olśnić prowincjonalne gło-

—•••••

wy blaskiem swego — jak hrabia zaprzy-  
sięgał — bajecznego, zgoła fenomenalnego  
talentu. Opiekunowie jej trzymali tę sche-  
dę w swych „szponach“ tak mocno, takie  
stawiali zapory do odebrania całej sumy, że  
jedynie dzięki arcysprytnym radom hrabie-  
go udało się histerycznej aspirantce do lau-  
rów „wychodzić“, drobną sumę na tak szla-  
chetny, obywatelski cel. Oczywiście hrabia  
i młoda „artystka“ byli przekonani, że nie-  
cni opiekunowie okradają sierotę i ta oko-  
liczność przysporzyła „bezinteresownemu“  
artyście zapału do „ratowania“ jej kapitału.  
A poświęcenie swe dla utalentowanej, osie-  
roconej i okradanej artystki hrabia posuwał  
tak daleko, że zorganizował drużynę aktor-  
ską, w której Ochnacka miała grać i pierw-  
sze role i pierwsze skrzypce — prawie ja-  
ko pani dyrektorowa i jako prawie-narze-  
czona pana hrabiego.

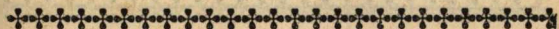






Wobec tego Lina była w trupie conajmniej zbyteczną. Zresztą, — chociaż prawdziwy artysta byłby dał sobie radę i z dwoma Linami — nie chciał zabierać jej z sobą z tego powodu, iż z góry przeczuwał, że impreza niebawem osiądzie na mieliznie, drużyna rozbije się na atomy wśród zwykłych kłótni, burd i wzajemnego kamienowania się i on będzie musiał wracać na usługne łono swej Liny. Chodziło zatem o to, aby Lina, zresztą w gabinetach zgoła „do niczego“, nie wychodziła z swych stosunków, nie zrywała z dyrektorem teatru.

Jakoż hrabia opuścił kawiarnie i knajpy stolicy w nowym kostjumie, z nowym zasobem artystycznego zapachu i nową „przyjaciółką“ — pożegnany uściskiem dłoni i najzjadliwszymi komentarzami kolegów — artystów, których zapomniał zaangażować na wyprawę po wawrzyny i po złote runo.





W dzień odjazdu rozczulił się tak, że przyniósł Linie (za „pożyczone“ od niej pieniądze) parę rękawiczek i babkę drożdżową a na pożegnanie ucałował ją, obiecując za zdobyte w podróży kapitały, obdarzyć ją różnemi kosztownościami.

Lina ucieszyła się podarkowi, babce i obiecankom, wszystko to przyjmując istotnie wdzięcznem sercem.

Jednakże opanowało ją uczucie ulgi.

Tego wieczora grała. Malarz przyszedł po nią przed teatr i udali się we dwoje na przechadzkę, bo noc była piękna, ugwieżdżona, ciepła. Lina gawędziła swobodnie, śmiała się z conceptów, ale ani słowem nie wspomniała o wyjeździe kochanka, którego imienia wogóle nie lubiła wymawiać wobec Stanisława.

Po kilku dniach—w ciągu których Lina bywała codziennym gościem w pracowni —





— Mają być gotowe w tym tygodniu...  
Co to znaczy to twoje „później“, Lino?

— Ach, Boże!... No później... Jak będzie można... Zostawmy to! Taki jesteś miły... Tak przyjemnie u ciebie! Wcale mi się nie chce wychodzić...

— To nie odchodź!

— Co pomyślałaby sobie służąca?!

— Toż ona i tak wie o naszym stosunku. Zresztą....

— Nie, nie można!

— Czy lękasz się, że wypaplałaby „jemu“...?

— Skończ już, Stachu!.. Usiądź mi na łonie! Przypomina mi się mój biedny Józek. Wiecznie gnieździło się to u mnie na kolanach...

Westchnęła z cicha.

A on siadł zlekka na jej łonie, objął

—————  
jej szyję i okrywając jej twarz pocałunkami,  
począł słodko:

— Jeżeli twoje „później“ nie znaczy ty-  
le co „nigdy“, jeżeli nie chcesz, abyśmy  
rozstali się... wkrótce, to jutro... rozumiesz,  
jutro przeprowadzasz się do mieszkania,  
które mam dla ciebie...

— Ach, Stachu!.. — chciała się bro-  
nić przerażona, lecz on ciągnął z naciskiem:

— Musisz, Lino... Jutro, koniecznie...  
Meble wszystkie zostawisz z Nastusią, za-  
bierzesz tylko swe kiecki. O piątej zaje-  
dzie wóz...

— Dokąd ty mnie chcesz przewozić?

— Dowiesz się jutro... Do ładnych  
dwóch klatek.

Ogromny strach wyjrzał z jej źrenic.  
Milczała długo, chwając się w sobie.

— Na to mam się wyprowadzić, byś  
mnie potem opuścił?...

— Lino, co ty mówisz? Czyliż nie dałem ci tysiąca dowodów przywiązania?... Lino, ciebie jednej, całej i oddanej trzeba mi do życia. Zostań przy mnie, a będę nosił cię na rękach, tulił do piersi jak dziecko chore... Będę o tobie myślał, jak o kochaniu, będę dla ciebie żył.... Kocham cię, Lino, jakbyś była niebem lub... grzechem śmiertelnym...

Zsunął się na kolana, całował jej ręce jak świętości.

A na niej spoczywało jakieś zdziwienie, bo bezsilna czuła, że ma zrobić stanowczy krok i to wydało jej się poprostu nadzwyczajnym żądaniem.

— Jakby „jego“ nie było, przestałbyś mnie kochać... — rzekła.

— Nieprawda, Lino! Źle mnie oceniasz, mierzysz trochę za pospolitym łokciem! Wierzaj mi, że mając cię kochał-



---

bym, jeśli nie potężniejszą — bo to niepodobno — to jeszcze piękniejszą miłością.

Ujęła jego głowę w dłonie i przycisnęła usta do jego czoła czule, mocno.

Po chwili powstała, przeszła przez pracownię i, stanąwszy do okna zwrócona, ozwała się:

— Jakżeż ja mogę porzucić go po tylu latach....?

— Udręki i deprawacji....

— Ale on dla mnie jest dobry! Na odjeźdźnym przyniósł mi parę rękawiczek i....

— Bardzo to pięknie, Lino, że umiesz być wdzięczną i za drobnostki. Ale doprawdy nie gniewałbym się, byś i dla mnie żywiła wdzięczność odpowiednią...

— On w pierwszych czasach kupował mi nieraz suknie i....

— Jakże? Ślicznej, młodziutkiej kochanki, niewolnicy nie miał darzyć niczem

---

innem jak tylko...? No, nie mówmy o tem! Lino! — zawołał, biorąc ją w pas i odwracając twarzą do siebie, szepnął z napięciem woli: Upominam cię po raz ostatni: nie wypuszczaj z ręki ostatniej swej deski ratunkowej! I zapowiadam ci, że jutro o piątej wyprowadzisz się od niego, albo raczej z swego mieszkania dotychczasowego...

Lina spozierała w jego namaszczonej twarz z cichem skupieniem i zastanowieniem długo, nim rzekła:

— E!.. Ty mnie jeszcze będziesz bił!...

— Bić? Ja mam ciebie bić?! — zawołał malarz i, ściskając obie jej ręce, wpałając się w nią wzrokiem, zagadnął: Powiedz mi, czy on ciebie bił... wiele razy?

— Nie, nie!.. — zawołała z zmaconą twarzą. — Nie śmiał by nigdy!... On przecież pochodzi z wysokiego rodu!.. Szanuje mnie.



---

— A jednak ta krew błękitna nie przeszkadza mu... Nie chcesz przyznać! Wstydzisz się!... Nie dziwię się zaprawdę, ale niechaj wstyd ten ogarnie całą przeszłość twoją przy jego boku...

— Nie, to nieprawda! Potwarz! To nieprawda! — powtarzała kłamliwie, tuląc się do jego piersi.

— Ty biedna kobieta... — wyjął z głębi serca — Dramat twój jest tem straszniejszym, że w obojętnym widzu nie wzbudziłby ani płomyka współczucia, litości...

— Dramat?... Jaki dramat, Stachu?

— Są ludzie, którzy grając główną rolę w dramacie wyobrażają sobie, że to tylko lekka komedja, farsa...

— Mój ty dramacisto!... — roześmiała się jak dzieciak ślicznie i nakryła mu usta ustami.



---

Ogarnęła ją błogość taka, że szepnęła:  
— Stachu, ja tak cię Kocham... jak-  
bym...

— „Jakbym“ co?

— Była zaprawdę twoją.

— Czyż jesteś nią na żarty? Czy nie  
możesz, nie wolno ci rozporządzać swem  
sercem...?

Przeszył ją wzrokiem.

— Nie patrz tak na mnie, bo się ciebie  
boję.. Bądź już dobrym, mój Stachu! Nie  
dręcz mnie!

— Będę „dobrym“, ale jutro Lino...  
o piątej...

— O! Jakiś ty namolny, nahałny!

Zwiesiła głowę z troską na czole.

— Jeszcze nie jutro, Stachu! Nie moż-  
na... Co on by powiedział? — lamentowała  
z cicha.

---

— Mnie to zostaw! Ja się z nim rozprawię.

— Stachu! — krzyknęła — Gdybyś ty zrobił mu najmniejszą krzywdę, uderzył go lub... to nie chcę cię widzieć więcej!

— Powiedziałem: „mnie to zostaw!“ To moja sprawa... rzekł poważnie, widocznie świadom tego co robi.

Lina śledziła grę jego oblicza i raptem przypomniała sobie, co „tłusta“ Ania mówiła o jego wyglądzie, jak podnosiła jego talent. W świetle tych pochwał Stach wyrastał w jej oczach niezmiernie i poczęła znowu pieścić go po twarzy rączkami. Z źrenic strzelały prądy ciepłe, opromieniały go miłośnie.

Pochwycił ją w ramiona, przytulił i szept namiętny wydarł się z ust.

— Muszę mieć twe serce, ty śliczna...



---

Oplół ją mocno, dłonie jego zsunęły się po jej biodrach. Nagle porwał, uniósł dużą lalkę jak faun nymfę płochą i usłał na otomanie. Krew uderzyła mu do głowy, zamroczyła go. Odrzucił jej suknię powyżej kolan. Zabłysła taśma ciała nad czarnemi pończochami. Bezprzytomny przylgnął do niej ustami, zanurzył się w lubej woni jej ciała, wtopił w jego ciepło, rękoma drżącemi okuł udo jej w ażurową spowite bieliznę i zmienił się w napiętą strunę żądz i upojenia.

Ogień brylantowy łysnął w zmrużonych jej źrenicach, śmiech figlarny, srebrzysty zadrgał nad jego głową, nutą weselną i najśłodsza skargą:

— Stachu!... Łaskocesz!...

Sygnal radosny.

Rozpletli się. Suknia, stanik poczęły padać na dywan.

---

Jeszcze chwila, potem zwarły się wargi płonące, głodne z furją niszczących płomieni, wpiły w zapędy destruktynym, ekstetycznym. Szał zakipiał, świat zatrzymał się, osłupiał, wszelkie życie skupiło się w jego łonie, wzniosło ku zenitowi w twórczym zachwycie....

Z przymkniętymi, płonącymi oczyma, z rozchyłonymi wargami półnaga kobieta spoczywała, omdlała niby na zwojach róż ponsowych.

Cichy, palący szept pieścił jej lica, całował kwitnące usta, wpijał się w duszę, kładł na nią z najpiękniejszych kwiatów uwite:

— Lino, twoje serce?... Twoje serce??...

Oczy jej przysłoniły się wachlarzami powiek, senliwe ramiona owijały go cudny-

---

mi — ale nieżywym powojami i usta jej  
zamykało milczenie.

Zimny wiew rozprół, stargał płomienną  
miłość kochanka.

---

---

## V

W dwa dni potem malarz przechadzał się po pracowni pachnącej, wymajonej buketami róż, rozpromieniony, gdy ozwał się dzwonek. Poskoczył szybko do drzwi jak stęskniony kochanek.

— Ha! ha!—zadzwonił śmiech Liny.—  
Prowadzę ci gościa. Jakiego gościa?!

Wciągnęła z sobą małą, może czteroletnią dziewczynkę o zdrowej, ogorzałej twa-

---

rzyczce chłopskiej, śmiejąc się uszczęśliwiona.

— Urodziło mi się! ha! ha! Ładne?

Pocałowała malarza w rękę i zaraz poczęła się zajmować kukłą, która nieruchoma niby filarek patrzyła się w malarza z głupkowatą minką.

— Marysiu! Powiedz „dzień dobry“ temu panu i pocałuj go w rękę!

— Skąd się to wzięło?... A znalazłaś nareszcie służącą?

— Zaraz ci opowiem!... Marysiu! No, nie bój się, pocałuj tego pana!

Gdy dziewczynka przez pół gwałtem dała się nakłonić do pocałowania „wujka“, Lina, usadziła ją w fotelu, dała jej karmelków, strzepnęła jej sukienkę perkalową w niebieskie kółka, ogarnęła dziecko raz i drugi krytycznem okiem i zwróciła się do malarza.



— Dostałam służącą, Michalinę. Przyjemną kobietę. Mąż ją opuścił, odjechał. Ta jej mała tak mi się spodobała! Sprawiałam jej trzewiczki, pończoszki i rękawiczki te niciane. Wydałam blisko trzy ruble...

To rzekłszy, spojrzała w oczy Stanisława pytająco.

— Chciałabym jeszcze kupić jej kapelusz, bo ten już tak zniszczony, brudny. To nie będzie wiele kosztowało...

— A to kup! — bąknął malarz niedbale, a ona uklękła przy jego krześle, wsparła się na jego kolanach i, oplatając go pełnemi sympatji spojrzeniami, rzekła:

— Powiesz, że wydaję tyle pieniędzy... Na proletarjat!

— Z pewnością nie powiem! — parsknął śmiechem Stanisław. — Skąd ci do głowy strzelił ów proletarjat?

— No, przecież jesteś szlachcic!





---

— Ale to nie znaczy, abym zadzierał nosa nad pospólstwo. Sam zresztą należę do proletariatu szlacheckiego.

Nie podobało się to Linie; gdyby był tak wysokiego rodu, jak „hrabia“ nie byłby się tak odezwał. Może nawet nie należał wcale do stanu szlacheckiego?

— Więc służącą masz już u siebie?

— Natychmiast sprowadziła się z Marynią. Dobrze, bo tak było pusto... Nie lubię nowych mieszkań. Przyzwyczytałam się już trochę, podoba mi się coraz więcej. Ale czemu wynajmowałeś to mieszkanie w tym samym domu?... To tak źle wygląda! „Nie dalej jak w drugiej oficynie ma kochankę“ powiedzą... „Utrzymankę“!...

— Masz przecież stanowisko, pracujesz...

To ją uspokoiło.

---

— Tak blisko mnie ulokowałaś, że-  
bym ci nie uciekła!?

— Nie. Aby mi ciebie tak łatwo nie  
wykradziono, czego zresztą nie radziłbym  
nikomu...

Nachmurzył się i nozdrza zadrgnęły mu  
silnie. A ona oplótła go w pas ramionami  
i usłała twarz na jego piersi bez słowa.  
Przygasł wesoły jej nastrój i spoczywała  
tak jakby senna z zamkniętymi oczyma. Aż  
powoli uniosła głowę, oblała go powłóczy-  
stem, tkliwem wejrzeniem i spytała naiw-  
nym, słodkim szeptem:

— Kochasz mnie?...

— Skąd to pytanie? — uśmiechnął się  
malarz.

A było to najpiękniejsze pytanie, jakie  
mu stawiała kiedykolwiek, bo zrodziło się  
z instynktownej obawy przed końcem ich  
sielanki. Przez nie wyznawała mu nieświa-

---

domie, że na jego piersi znalazła przystań pełną cudnej, balsamicznej ciszy, wyzłoconą szczęściem.

Istotnie uciszyło się wszystko w tkaniu rozstrojonych, osłabionych nerwów, wygładziły fale ćwierćtonów uczuciowych, grających wieczyście w człowieku i wytwarzających pewne stany duszy, i w splotach jego ramion, w tym słoneczno-lirycznym nastroju zablizniały się rany, jakie zadało jej życie. Stawała się lepszą i szczęśliwą. Najczystsze struny kobiecości grały w niej kołysankę lubą i usypiały ją jak pieśń matczyzna niemowlę.

— Dzieciaku!... — szepnął, całując ją oczyma, pieszcząc dłonią jej owal miękki.— Doprawdy, Lino w tobie pozostało coś z dziecka i może to właśnie wyposaża cię tym fijołkowym, specyficznym wdziękiem, który mnie oszołomił jakby woń rajska, jak-



by muzyka niezapomniana i jak owoc lotosu, tchnął we mnie tęsknotę wieczystą za tobą — za ideałem — za szczytami tego, co „wiecznie kobiece“. Na twój widok rozpręga się moje serce całe i odnajduję w niem skarby, z których tworzyć można nietylko kochanka ale przyjaciela i ojca. I tem wszystkim jestem dla ciebie. Dlatego na mnie jednym wesprzeć się możesz niby na opoce. Ja jeden odczuwam cię i przeczuwam, ja jeden oceniam cię sprawiedliwie i całkowicie, ja jeden kocham cię w pełnem, najwyższem tego słowa znaczeniu... I nikt, Lino, tylko ja jeden mogę uratować cię i uszczęśliwić, a miłość wszystkich tych, co cię to niby kochali, razem wzięta nie dorównuje mej miłości dla ciebie...

Pocałowała go w usta i rzekła olśniona:

— Jak ty wszystko... wyrozumujesz.  
Taki jesteś mądry i... sławny.



— Dzieciak, istny dzieciak... — szep-  
tał — któremu trzeba dzieciaka. Prawda, że  
trzeba ci jakiej małej Maryni?...

Złoty uśmiech wykwił na jej lica. Uwi-  
sła na jego szyi, rozkochana w ojcu dziec-  
ka, które jej niejako obiecywał, i pieszcząc  
jego twarz pocałunkami pytała słodko:

— Cobyś wolał?... Małego Stasia czy  
małą Alinkę?

— A ty?

— Sama nie wiem... Najpierw małego  
Stasia a potem małą Alinkę.

Śmiech głośny zadzwonił głośno i do-  
rzuciła:

— Dopiero musiałybyś pracować, aby  
było na trzewiczki.

Podniosła się i posadziła mu dziewczyn-  
kę na kolanach.

— Naucz się piastować! Zrobię her-  
baty dla Maryni.

---

— Mamusia...

— A ty... tatuś!

Dwa uśmiechy złote zbiegły się, zmieszwały w harmonijny ton szczęścia.

— Krzątała się po pracowni z gracją pociągającą oko malarskie.

Stach pytał się, czy to królowna dostojna a słodka kroczy z śnieżnym, wiernym brytanem pod arkadą drzew dumnych, długoramiennych do swej zacisznej świątyni dumań dziecięcych. Czy to nymfa arkadyjska, zbudzona ze snu pocałunkami Feba i Zefira chochlikowatego stąpa po kobiercu zielonym przy muzyce fletów pasterskich do zwierciadła wód kryształowych, kaczeńcami bramowanego?

Bo z ruchów jej rozśpiewanych, skromnych płynęła kołysanka cicha, uderzała o struny wezbranego serca i wydobywała z nich jakąś poezję sielankową o przedziw-



---

nie śpiewnej rytmice. I nigdy kształty jej nie były więcej urocze, piękniejsze jak w naturalnym swym ruchu gondoli weneckiej, gdy zdoła się płynąć przez życie w beztrosce, w naiwnym dolce par mente — bezwiednie rozkochana w sobie.

Więc kładły się przed nią rozprężone serce kochanka i rozświetlona dusza artysty i lizały stopy bogini, w której ruchach i gestach odnajdywał i rysunek i muzykę i rtęć swych najtajniejszych ukochań.

Przemówił przez niego ogromnie kochający mąż i najtroskliwszy ojciec:

— Lino, trzeba ci koniecznie powietrza, słońca, wypoczynku... Zawiozę cię do jakiego wodoleczniczego zakładu, byś tam wygoiła rany, jakie zadało ci życie, wymazała plamy, nabrała hartu i mocy — nauczyła się żyć po ludzku. To pierwsze.

— Co ty knujesz za plany?

---

— Różne... A bodaj wszystko to, co planuję, dałoby się skropić w życzeniu, by zrobić z ciebie kobietę... I tego jestem pewnym, absolutnie pewnym, że za sześć miesięcy ujrysz wszystko, co przeszłaś zgoła innem okiem, że wstręt i odraza kipieć będzie w tobie na wspomnienie... „jego“ i wszystkiego.

Cień przeszedł po jej twarzy na wzmiankę o „hrabim“.

— Za jakie trzy tygodnie wyjedziemy, najpierw na kurację Liny, potem w świat...

— Mam rzucić teatr?

— Oczywiście. Nic cię z nim nie wiąże.

— To prawda, ale... to tak źle wygląda bez zajęcia, bez własnego kawałka chleba. Nie chcę być tak jak Zośka.

— Nic tak źle nie wyglądało jak twoje pożycie z „nim.“ Ale nie dotykajmy już tej

---

materji. Wierzaj mi, że będę się starał, by nasz stosunek lepiej wyglądał. I będzie.

— Jeżeli mamy jechać zagranicę, to muszę się bezwzględnie zacząć uczyć po francuzku! Trochę umiem.

Myśl ta pochłoneła ją do tego stopnia, że zaraz po herbacie wywlokła z jego biblioteczki gramatykę francuzką. Stach nie odstręczał jej od tego, ale myślał sobie, że stokroć pożyteczniejszem, od całej francuzczyzny byłoby, gdyby z jakiej książki wyłowić mogła dla siebie trochę... duszy, i pragnął, aby tą książką stało się jej przyszłe życie.

Mając na względzie jej kult dla zachowywania pozorów, cechujący aktorki, wynajął dla niej osobne mieszkanie, uważając to za fazę przejściową, w czasie której Lina miała przebyć ogniową próbę i dać mu rękojmię, że pozostanie nieczułą na wszelkie

---

zakusy „hrabiego“ w celu odzyskania skar-  
bonki.

Że on nie da jej sobie wydrzeć bez ja-  
kiejś podjazdowej, chytrej walki, malarz nie  
wątpił, bo chociaż nie znał go osobiście, miał  
o nim całym wyrobione pojęcie. Że hrabia  
obmyśli coś piekelnego — również był pe-  
wnym. Wogóle, zabierając Linę uświadamiał  
sobie jasno, że rozpoczyna wielką niebezpie-  
czną grę. Ale wstąpił na to nie-rycerskie bo-  
isko z skończoną determinacją człowieka, któ-  
rego uczucia prą do czynu — chociażby czyn  
ten był karkołomnem szaleństwem.

Plan akcji wytknął sobie oddawna  
i w myśl tegoż postanowił w momencie,  
w którym „hrabia“ przypuszczalnie dowie-  
się o tem, co zaszło z Liną, wypowiedzieć  
mu wojnę taką, by mu wszelka do niej ode-  
szła ochota, by nie odważył się zbliżyć do  
Liny.

---

Tymczasem zażywał kapuańskich wy-  
wczasów, starając się przykuć Linę do sie-  
bie, opętać powojami wszystkich swych  
uczuc miłosnych. A skoro tylko Lina opu-  
ściła dawne swe mieszkanie i przeszła pod  
jego władzę, zauważył z radością, budzącą  
najpiękniejsze nadzieje, że pozostawiła po za  
sobą wiele z brudów tych, jakimi otaczali  
ją niby opłotkiem cierniowem „hrabia“ i te-  
atr. Wydostała się z tej atmosfery przesy-  
conej miazmatami cuchnącemi i odrazu wy-  
bielała, wyszlachetniała poniekąd.

Nigdy dawniej nie przeżył z nią tak  
uroczych chwil jak dnia tego, gdy oczy  
i usta jej mówiły mu o szczerzej miłości, gdy  
serce jej dziecięce słało się na jego sercu z ci-  
chem oddaniem.

Nie podejrzewał, że ona bawi się od-  
grywając przed sobą rolę gosposi, żonusi  
i mamusi, nie uważał tego za wypływ na-

---

stroju aktorki, która nieświadomie, instynktem praktycznym wiedzona zaskarbia sobie łaski nowego pana, lecz wierzył, że inny wstąpił w nią duch i zakwita w niej kwiat miłości.

„Jednak szczęście istnieje na ziemi...” — mówił sobie w obłoku złud tęczowych — w niepamięci stokrotnych mąk i katuszy.

---



BIBLIOTEKA  
URZĘDNI: TOW. WZAJ. UB. W KRAKOWIE  
SEKCJA IV.

## VI.

Ze snu błógiego zbudziła go mimowolnie Zośka, która wpadła do siostry niespodzianie.

Stach rozmieszczał obrazy i dekoracje na ścianach. Wobec malarza, rozsiewającego poniekąd zawsze atmosferę kulturalną, dziewczyna, lubująca się w sklepikowej i gabinetowej swadzie, przybierała bezwiednie ton „dystyngowany.“

Lina powitała ją z niezadowoleniem.

---

— Jak-eś ty się dowiedziała, że się przeprowadziłam?

— Poprostu byłam u ciebie i powiedziała mi Nastusia, która szuka sobie innej służby. Jest tam telegram od „hrabiego“. Jest także pocztówka do ciebie. Zapewne od niego.

— Przyniosłaś ją z sobą?

— Nie, bo nie byłam pewną czy odnajdę twe nowe mieszkanie.

Lina zamyśliła się. Odzywał się w niej głos jakiś upominający, by więcej nogą nie przestępowała dawnych progów a jednocześnie coś ciągnęło ją tam po wiadomości od „niego“. Nie było przecież powodu, aby nie miała wysłać za nim telegramu, który nie zastał go w Warszawie.

— Co on pisze do mnie? Czytałaś? — spytała.

— Nie czytałam. Wiem tylko, że z Ra-

---

domia. Gryzmoły... Jest coś o Róży Krawczyńskiej. Wólkański położył rolę na gębę i kłapa byłaby jeneralna, gdyby nie hrabia... Nie wiem w jakiej sztuce. Mają jechać do Grodna.

— Do Grodna?? Kiedy?... — wpadła Lina, widocznie zalterowana tą wiadomością.

Zrazu Stach nie mógł zrozumieć, czemu to zrobiło na nią takie wrażenie. Niebawem jednak pojął, że hrabia wkrótce przejeżdżać będzie przez Warszawę.

Już rozmowa o tym człowieku odbierała Linie swobodę, już cień jego gasił w niej blaski, a myśl o przejeździe jego, o spotkaniu z nim siała w niej głuchy lęk, przeobrażała ją w kobietę o złym wyrazie twarzy.

W ciągu kolacji Lina nie odzywała się prawie wcale, unikała wzroku malarza, nawet nie wiele zajmowała się Marynią, którą

---

przypuszczono do stołu w nowej, przez Linę uszytej sukience.

Zośka jedna trzepała żywo językiem, unosiła się nad gustownie urządzone mieszkanie, snadź pochwalając krok siostry. Lubiała bowiem Stacha i uważała go istotnie za deskę zbawienia Liny. Malarz próbował żartować, śmiać się, lecz brak humoru Liny oddziaływał nań fatalnie i nękał go ból wobec ujawnionego wpływu, jaki hrabia zawsze jeszcze wywierał na nią.

W toku rozmowy o czem innem Lina ozwała się, do siostry zwrócona:

— Muszę jutro pójść do Nastusi...

— Po tę pocztówkę?

— ... Muszę dowiedzieć się, czy nie znalazł się ostatecznie mój żakiet karakułowy i mufka, bo, wystaw sobie, że wyprawdzając się nie mogłam go odnaleźć. Nastusia nie skradła, nikt w mieszkaniu nie

---

był... Zachodzę w głowę, co się mogło stać z tym żakiem...

— Ha! ha! ha! Ty głupia! — zaśmiała się Zośka. — Co się stało? Prostu hrabia wyniósł go do lombardu i już!

— Nie! Przenigdy! — zawołała Lina zawstydzona. — Nie ośmieliłby się nigdy na nic podobnego, bez mego wyraźnego pozwolenia... Przyniósł mi na wyjeźdźnym parę rękawiczek i...

— Bez twego zezwolenia!... — wybuchła cierpko Zośka. — O co zakład, że hrabia wyniósł?

Lina zwiesiła głowę chmurna.

— To niepodobno.

— Niepodobnem nie jest dla niego nic. Znamy go!

Pod koniec kolacji Lina wbrew zwyczajowi wypita dwa kieliszki wódki i ożywiła się; wszczęła żywą rozmowę z Zośką

---

o sprawach teatralnych, a Stach usunął się na ubocze, wydarł z notesu ćwiartkę papieru i począł coś pisać.

Gdy Zośka zabrała się do wyjścia, i on wziął kapelusz, by odprowadzić ją do drożki.

— Słuchaj, Zośka — rzekł, skoro znaleźli się na schodach. Musisz mi wyświadczyć drobną przysługę... Napisz zaraz jutro rano list do hrabiego (najlepiej polecony) i donieś mu, co się stało z Liną, a nadto dołącz tę ćwiartkę papieru, którą ci wręczę.

— Co takiego?

Stanęli w dobrze oświetlonej bramie i malarz rozwinął zwitek papieru, na którym czytali:

„Powiedz mu lub napisz odemnie co następuje:

primo: jeżeli mnie lub Linie nasunie się przed oczy — to zbiję go na kwaśne jabłko,



---

tak, że przez dwa tygodnie będzie zbierał swe kości,

secundo: jeźliby ośmielił się zbliżyć do Liny pod jakimbądź pozorem — to zastrzełę go jak wściekłego psa.

Aby nie było najmniejszej wątpliwości co do mego postanowienia — daję ci to na piśmie.“

— Ale tego nie zrobiłbyś! — rozśmiała się Zośka.

Stach zmilczał. Począł stukać do klatki stróża.

— Zrobisz to, o co cię proszę? — zapytał jej.

— Owszem. Napiszę jutro rano do Radomia list polecony.

— Czy sądzisz, że to poskutkuje?

— Tak myślę... On zdaje mi się tchórzem podszyty.

— Człowiek tego kalibru, pastwiący się

---

nad słabością jest sam słabym — i tchórzem.

— Co ty jeszcze z nią przeżyjesz!... —  
bąknęła Zośka.

Na to Stach zdjął kapelusz i przeszedł palcami przez włosy w przystępie rozpaczliwego zniecierpliwienia i wyrzekł, na pół do siebie:

— Myślałem, że to się skończyło a może to dopiero zaczyna się na serjo...

— Nieraz serce mi się ścisnęło wobec takiej poniewierki, ale teraz napada mnie szewska pasja. Jak kto taki bajecznie głupi jak ona...

— Ona nie taka głupia. Ma dużo finezji, lubo na krótką metę, ma nawet dużo rozsądku praktycznego i znajomości ludzi— wszędzie tam, gdzie on nie wchodzi w grę. Nie głupia, ale ogromnie, patologicznie słaba i... zaklęta przez niego.



---

— Nic prostszego. Skoro tylko stanie w Warszawie pójdzie do kawiarni, na giełdę aktorską. Otóż wstąpię tam jutro, dam chłopcu na piwo, zostawię swój adres i zapowiem, aby natychmiast dał mi znać, gdy pojawi się hrabia.

— Doskonale.

Przez chwilę postępowali w milczeniu.

— Zanadto bierzesz sobie to do serca—  
bąknęła Zośka.

— Bo zanadto ją kocham. Lina to moja trucizna, mój kataklizm życiowy... Widzisz, jaką jest dla mnie!

— Dzisiaj, a jutro będzie inną.

— Zgoła nieobliczalna, to prawda.

— Żebyś ty ją... wykochał porządnie, zaraz byłoby dobrze.

— Otóż mylisz się! — odrzucił Stach z emfazą i ciągnął: Jeżeli Lina odda mi się dziś serdecznie, wyszumí się w mych obję-



ciach, jutro z pewnością będę jej wstrętnym. Znam ją, każdy atom jej. Zawsze godzina Erosa i Priapa odbija się na jej ustroju w ten sposób, i tak, że najchętniej na drugi dzień nie pokazuję się jej na oczy.

— Zawsze było to cherlawe trochę— zauważyła Zośka, a on snuł wątek myśli:

— Wręcz mylnem jest mniemanie, że gwoździem rozkoszy można przykuć kobietę i opanować. Nie! Tajemnica siły władczej spoczywa w fabryce duchowej człowieka, w nerwach, w substancji życiowej — mówił i w myślach dorzucił: A ja, niestety, jestem wysubtelniony nerwowiec, zanadto artysta.

— Pierwszym warunkiem, aby być kochanym przez Linę, jest: nie kochać jej, nie brać na serjo.

— Co ty z nią zrobisz, gdy zestarzeje się, zbrzydnie? Rzucisz ją?

— Przenigdy! — zaprotestował gromko, a ona rzuciła szczerze:

— Warjacisko z ciebie!

Zerknęła w miłą twarz artysty.

— Gdybyś ty mnie przez pół tak kochał jak ją, to... może sprzeniewierzyłabym się Kaziowi i doprawdy nie zaziębiłbyś się przy mnie... Lina to histeryczka podana na zimno w słodkiej i... białej śmietanie, ja to histeryczka na gorąco z sosem pikantnym...

Stach odwrócił oczy.

— Kazio cię kocha...

— E, kocha... Za mądry, aby mnie bardzo kochać; woli, abym ja jego kochała.

— Tak, to mądre... A jednak nie chciałbym być tak mądrym, bo tylko w wirach takiej, jak moja miłości, można się wyżyć do dna. Tylko artysta wie, co to znaczy życie... Tak umieć kochać, to dar bogów.

— Z którym ci jednak źle.



---

— Żle jest zawsze, gdy człek zanadto żyje duszą, gdy z nieubłaganem jasnowidzeniem czyta w ludziach, gdy jest za mądrym... To wyludnia świat, odziera życie z złudzeń, odrywa człowieka zbytńio od prochów ziemskich.

— Tyś wiele za mądry chłop dla niej!

— A gdybym był złym, to-by wcale na mnie nie spojrzała. Tylko hrabiemu wolno być złym! Powiedz mi, czemu to?

— A czyż ja wiem?! Zupełnie nie rozumiem, co ją wiąże do tego przegniłego kabotyńa!

Na pożegńanie pocałowali się. Zośka wsiadła w fiakra, on powlókł się do Liny, którą zastał w kaftaniku, widocznie z przyjsćia jego niezadowoloną.

— Jesteś trochę nie swoja, Lino — ozwał się.



— Trochę jestem niezdrowa. Zaraz położę się spać.

— To znaczy, że mam odejść. Dobrze, ale całusa na dobranoc.

Położyła mu ręce na ramionach, pocałowała go zdawkowo, jak dawna Lina, i zaczęła zdejmować suknię, nie podnosząc na niego oczu.

Milczenie wstąpiło między nich chłodne i tajemnicze jakby mara.

Wreszcie on ujął jej ręce czule i szczerze uczucie popłynęło z piersi ciepłą falą:

— Lino. Ty lękasz się czegoś, mój ptaku!? Mów mi! Czyż nie zasługuję na szczerść? Czyż nie osłaniam cię ramieniem? Przysięgam ci Lino, że przy mnie włos nie spadnie ci z głowy...

Lodowiec byłby stopniał pod żarem tych słów dobrych, ale ona była zgoła nieczuła,

---

zamarła,—gdzieś bardzo daleko od niego i to przepełniało go bezgranicznym smutkiem.

Wreszcie, załamując ręce, wyrzuciła rozpaczliwie:

— Ach, com ja zrobiła!...

Bez słowa Stach spozierał w zrozpaczoną jej twarz jak w kamienną maskę sfinksa. Była to jedna z tych chwil, gdy jej istota uchylała się całkowicie z pod jego wzroku i tonęła w jakiejś ciemnicy, i jedna z tych chwil, w których bezsilny, zrozpaczony i zakrwawiony krwią serdeczną pytał się, czy nie należy chwycić się metody „hrabiego“, krzyknąć na nią jak na sukę i brutalną ręką przytłoczyć do ziemi.

Ale byłoby to wręcz przeciwne jego naturze; nie mógł zdobyć się na brutalizowanie ukochanego dziecka. Zresztą wiedział, że ona nie zapomniaby mu tego, nie przebaczyła nigdy. Tylko jeden hrabia miał prawo

maltrretować ją, bić i robić z nią co zechce,  
jak z martwym przedmiotem.

Ale jakie prawo? Jakie...?

Przecież go nie kochała!...

Tajemnica.

Załamął ręce w niemej rozpaczcy i prze-  
szył go dreszcz obawy przed nią — tą lodo-  
watą zagadką.

— Powiedz mi?... — szepnął wreszcie—  
czy... pójdiesz jutro na dawne mieszkanie?

— Pójdę. Muszę się dowiedzieć o ten  
zakiet.

— Ależ, nie ma już najmniejszych wi-  
doków, aby się miał znaleźć.

— Muszę zapytać się Nastusi, czy ma  
na życie...

— Nie mówisz mi prawdy... Zgoła nie  
wiem, czemu do mnie nie masz zaufania,  
czem zaskarbić je u ciebie, co robić...

---

— Złe się stało... Ty mógłbyś ożenić się dobrze, bogato. Ciągną cię do wszystkich salonów...

— To znaczy, że masz chęć powrócić do niego i koniecznie zmarnieć... Ależ ty przecież sama musisz widzieć i widzisz, że przy nim czeka cię niechybna ruina, że nikt, żaden porządny człowiek nie zajmie się tobą serjo, dopóki w fałdach twej sukni kryje się ten człowiek, że on odstręcza, odstrasza od ciebie wszystkich, że on cię wyzyskuje, marnuje, upadła, zabija. Czyż taki urok ma dla ciebie zło? Czyż jesteś tak złą, by lgnąć do błota, miłować brud, kochać zło?...

— Głowa mnie tak boli... Daj mi się położyć spać... — bąknęła kwaśno.

Stach westchnął, rozkrzyżował ramiona i wyszedł.

Nazajutrz nie śmiał iść do jej mieszka-

---

nia z obawy przed jej lodowatością, przed cierpieniem, jakie mu zgotowywała. Lecz pod wieczór Lina zjawiła się w pracowni z wiązanką kwiatów. Włożyła do wazonu i ozwała się przymiłym tonem:

— Zapomniałam wczoraj zeszyć ci nocną koszulę. Szkoda ją wyrzucić. Jeszcze dobra. Muszę niedługo pójść do garderoby, ale zobaczymy się po teatrze. Przyjdiesz po mnie? Albo lepiej nie fatyguj się, deszcz wisi. Przyjdę sama do ciebie. Dobrze?

— Dobrze. A powiedz Michalinie, aby przygotowała coś na kolację.

Spojrzała na niego z sympatją. Przyśiadła lekko na jego kolanach, otuliła jego głowę ramieniem i pocałowała go w czoło.

— Gniewasz się na mnie? — szepnęła słodko.

— Gniewać?... Nie. Zamęczasz mnie...

— Mojes'-ty miłe, dobre...





Usłała twarz na jego włosach, muskając dłonią jego lica, wąsy a w nim pod miękkim tem słowem i pieszczotą tajało wszystko.

— Ale ty zawsze jeszcze nie jesteś moją. Czasem jesteś miłą i dobrą, czasem wprost lodowatą i okrutną, nigdy moją...

Przytuliła głowę jego do piersi.

— Ale zapewne będę twoją... później.

— Ileż ja razy słyszałem już to „później“! Dałibóg, powiedz mi, Lino, co mam zrobić jeszcze, by zdobyć twe serce? Rozbijam sobie głowę, dałbym rozćwiartować się, aby...

— Co masz zrobić? Bądź dobry.

— To nie znaczy nic.

— Pocałuj mnie ładnie i nie dąsaj się! Muszę spieścić do garderoby. Z teatru przyjadę tramwajem, natychmiast. Dzisiaj wcześniej. Krótka po dziesiątej. Pa!



Rzuciła mu całusa i wyszła.

Tydzień minął w niezakłóconej harmonji. Tak się złożyło, że Lina nie grywała prawie wcale. O ile zaś nie wołała konieczność, stroniła od teatru a tak się zadomowiła, że malarz nie mógł wyciągnąć jej z domu. Gdy chciał pójść z nią do restauracji, przedkładała o ile oszczędniej jadać w domu. Wieczory spędzała w jego pracowni, bawiąc się z Marynią, ucząc się po francuzku lub robiąc szydełkową robótkę. Kazała się przesłuchiwać z francuzczyzny, gdy czytał lub rysował, przeglądała bieliznę lub zagłębiała się w żurnale, robiąc wogóle wrażenie żony od kilku lat z nim złączonej.

Zwykle widywali się dopiero po południu, bo malarz kończył portret a ona chodziła na próby. Lecz pewnego dnia zjawiała się wcześniej wprost z teatru — jak zauwa-



żył — wielce zdenerwowana. Lecz uspokoiła go, mówiąc:

— Wiesz dobrze, że mam nerwy ogromnie rozstrojone i czasem bez żadnego powodu zdejmuję mnie niepokój.

A on podejrzewał, że „coś zaszło“.

Wyjaśnienie przyniosła mu Zośka, która nazajutrz wpadła do niego i w progu zawołała:

— Wiem, wszystko wiem... Czy mówiła ci Lina, że widziała wczoraj „hrabiego“? Nie? Otóż, gdy wychodziła z próby z Orczyńską, przedefilował przed nimi hrabia prowadząc pod ramię Ochnacką. Złożył im piękny ukłon.

— Ale nie zbliżył się do nich, nie zagadał?

— Nie. Wiem to wszystko z ust Orczyńskiej. A chłopak z kawiarni dał mi





— Ależ ona go nie kocha!

— Więc co? Jak nazwiesz jej uczucie dla niego? Ja nie znam rzeczownika, którym można by określić to uczucie enigmatyczne. Czasem myślę, że to czar zła. Bo ja tu mam przeciwko sobie nie człowieka, lecz jakąś siłę mistyczną....

Po chwili namysłu dorzucił półtonem:

— Albo może ona kocha i jego i mnie...

O, jak męczące są te fluktuacje jej uczuć nikłych, zwodniczych. Różowe blaski jej serca dziecięcego pojawiają się niby zorze w oczach nieznacznie zmieniające swe barwy. To co w tym momencie raduje, wyłącza duszę tak, iż wyciągam ramiona jak do fatamorgany, za chwilę przechodzi w smętne fiolety, cień kładzie mi na czoło... Wieczysty niepokój, niepewność, udręka.

— Wywieź ją gdzie bądź!

— To zrobię. Za dwa tygodnie będę

---

gotów. Wpierw muszę wyjechać na Podole. Mam tam odebrać dość znaczne pieniądze i zdać opinię o starych obrazach. Zabawię trzy, cztery dni w podróży. Natychmiast po powrocie wyjeżdżam z Liną. Przywiozę ją nieprędko, ale — kobietą, która nie ulegnie wpływom takiego „hrabiego“. Za to ci ręczę! — dorzucił zuchwało, oddając się złudzeniu, że kultura zrobi z owsa ryż.

Pierzchły mgły obaw przed oczekiwaniami zakusami hrabiego, o którym nie wspominali prawie ani słowem. Przyszłość otwierała się przed nimi pogodna, jasna.

Stach nie zauważył, że mała Maryńka poczęła nudzić Linę, a zacisze domowe postradało dla niej coś z swego uroku i skłaniała się znowu ku sferze teatralnej, ku mniej lub więcej ordynarnym mamselom, kome-razom, plotkom, Ignęła do śmietnika wsze-



---

lakich żdźbieł i nieczystości. Jednakże nigdy nie miał najmniejszego powodu do nieufności, do zazdrości. Nie myślała nigdy o podbojach mężczyzn, trzymała się Stacha lojalnie, otaczając chlebobawcę szacunkiem i kochanka pewną sympatją tak, że brał ją w ramiona jako skarb zdobyty tysiącem mąk, otoczony wiankiem bólów zapomnianych, w ametysty i perły zamienionych.

Wiadomość o wyjeździe jego przyjęła Lina niechętnie, chociaż imponowało jej, że on jedzie do „pałacu“. Musiał jednak być istotnie sławnym, jeżeli przestępował tak wysokie progi! Ale rozpytywała, kiedy wróci, jakim pociągiem i lęk wyzierał z jej ciemnych źrenic.

— Może ty mnie chcesz opuścić...? — szepnęła.

— Lino, gdybyś ty odczuwała, jak głęboko ranisz mnie takimi przypuszcze-





920 2 1/2 m.  
-----  
duszy, okropny krzyk jakby dławionej w rękach morderczych kobiety rozległ się echem i serce jego zajęczało potężnie jak harfa brutalnie rozbita o skałę.

— Boże... Mój Boże! — wyszeptały sine wargi.

-----



## VII

O tym czasie Lina siedziała u siebie zatopiona w gramatyce francuskiej.

Przez otwarte okna dolatywały odgłosy zgiełkliwej arterji miejskiej, raz dzwoniąc, podnosząc się falą, raz spływając w marmot, w pomruk dyskretny, który w uchu mieszczańki wydał się prawidłowym stanem, niemal ciszą. Miasto oskrzydlało przytulny zakątek Liny echem życia swego, wprowadzając weń nutę weselnej kołysanki.



Cichy brzęk dzwonka padł w zacisze.

Lina poruszyła się nerwowo i powróciła oczyma do książki, lecz nagle drgnęła, jakby prądem galwanicznym przeszyta.

Głos jakiś... Czyżby...?

Cichuteńko uchylły się drzwi, rozwarły leniwie, ostrożnie.

Stał w nich hrabia.

Błazeńska jego maska ułożona była do cynicznego półuśmiechu, który zakrzepł na niej i nadawał jej wyraz niezmiernie charakterystyczny. A potęgował go papieros w pośrodku dolnej wargi tak osadzony i w górę zadarty, że wznosił się pod koniec nosa.

Tak chyba komik prowincjonalny stawał przed rampą sceny w promieniach niewybrednych oczu galerji, wywołując niezawodnie efekt oczekiwany u kucharek i czytelniczek „Psa z Baskerville’u“. W tym



---

momencie była fizjognomja jego iście godną rembrandt'owskiego pendzla — Stanisława.

Stał bez ruchu, bez słowa, w figurę woskową zmieniony i spozierał w twarz Liny, którą siny strach schwycił za włosy, kneblując jej usta.

Oczy jej zmacone, otchłanne, szkliste patrzyły nań niby na upiora. Wszystko jej życie skupiło się w piersi, stężało w płomyk dygocący niby gołąb w garści.

A hrabia zawsze jeszcze stał niemy, nasłuchiwał czy szelest jaki nie nadchodzi z przyległej sypialni i patrzył w Linę, śledząc w grze jej lic wywołane wrażenie. Stał w czarnym meloniku na głowie, z papierosem w zębach — kłown i satyr w jednej, cherlawej osobie, pewny siebie, wyzywający, zuchwały i beczelny.

Aż wreszcie wsunął się do pokoju bez szelestu i rozejrzał dookoła. Jakby Liny nie



było w pokoju. Najpierw zwrócił baczną uwagę na stojącą obok drzwi etażerkę inkrustowaną, bukietem narcyzów ukoronowaną. Dotknął się jej ręką niby kupiec, poczem obejrzał krzesło biegunowe, fotel ładnie wyściełany, ogarnął okiem ściany — kilka barwnych „druków“ wiedeńskich, oryginalny sztych angielski i akwarelowy pejzaż morski w białych ramkach.

— Ładnie mieszkaś, daję słowo... — bąknął i, zauważywszy gustowny kilim osłaniający wejście do sypialni, ciągnął: Pi!... I to kosztuje!... Ładne. To wszystko musiało być warte jakie... ośmset, tysiąc... Co?

Zapytał ją wzrokiem i teraz dopiero zbliżył się do biureczka, przy którym siedziała blada, w milczenie zakuta kobieta.

Bliskość jego osoby jakby jaśni zdała się oslepiać ją, to opuściła głowę nisko.

— Skąd się tu wzięłaś? — wyszeptła.

---

— Z... Warszawy! — zaśmiał się hrabia.

— A kiedy wróciłeś?

— Właśnie na czas!... Ha! ha!

— I... powiodło ci się dobrze? — pytała, unikając jego źrenic, uparcie w nią utkwionych.

— Nieźle, wcale nieźle... Nie powitałem cię nawet porządnie! — zauważył, uplótł głowę kobiety ramieniem lekko i złożył na zimnych jej wargach szybki, głośny pocałunek.

— Jak się miewasz?

— Nieźle — odparła Lina, powtarzając machinalnie ostatnie jego słowo.

Opuścił się w krzesło przy biurku.

— Jego niema w Warszawie?

— ... Nie ma.

— Kiedy powróci?

— ... Jutro... Może pojutrze.

---

— Już jutro? O której godzinie?

— ...Wieczorem.

— Czy nie telegrafował?

— Nie.

Podniósł się znowu i stając tuż przed nią, wsparty o biurko, z rękoma w kieszeniach wycedził:

— To musimy się spieszyć...

W przysłoniętych Liny źrenicach zakotłowały jakieś męty.

Milczenie. Aż nagle hrabia kładąc dłoń na jej ramieniu, zawołał chwacko:

— Zbieraj natychmiast swe stroje!

— Jakto, Tadziu?!.. Co ty chcesz ze mną robić?..

— Jedziesz ze mną do Piotrkowa na występy. Potrzeba nam takiej jak ty artystki. Musisz jeszcze dzisiaj wziąć urlop. Więc bez barłżenia! Zbieraj się!

— Ależ ja nie mogę wyjechać! — jęk-









---

z złości błyskami w oczach, odsapnął i huknął po jeneralsku:

— Jazda! Zabieraj się zaraz do pakowania!...

Lina nie drgnęła, zdało się, że zapadła się w siebie, skryła w myszą jamę.

Chmura przyćmiła mu czoło. Począł żuć słowa, cedzić coraz wolniej tak, iż padały na nią, parząc ją niby krople ukropu:

— Zhardziałaś mi, a-nio-łecz-ku śliczny, roz-zuchwalałaś się przy tym pacholku...

Urwał i zawiesił nad nią jakieś słowa, aż wykrztusił groźnie:

— Muszę ci poznać ciało...

— Tadius!!

Zerwała się na nogi i wsparła się o ścianę, topiąc w nim przerażone oczy.

— Ty mnie nie dotkniesz już!...

— Psia...

Syk zaświszczwał mu w piersi i w mgnie-





---

cy. Ja jeden cię nie opuściłem, nie opuszczę... To jest prawdziwa miłość... Gdybyś ty za to odwdzięczyła mi się, jak suka co biegnie do pełniejszej miski i uciekła... albo raczej próbowała uciec, to miarkuj sobie to raz na zawsze, że odnajdę cię choćby w piekle i temi paznogciami zedrę ci wszelką skórę z twarzy, oparzę ukropem i tak oszpecę cię, że ludzie, psy nawet z odrazą odwracać się będą od dawnej, ślicznej Liny... A ja sam zastrzelę się u nóg twoich, byś śmierć moją nosiła na sumieniu do śmierci tak jak blizny na twarzy... Ja jeden kocham cię prawdziwie; ja jeden cię nie opuściłem i nie opuszczę....

Z gestem niemal bohaterskim położył rękę na sercu i, dumny z przybranej pozy napoleońskiej, spozierał w jej oczy, jakby oczekując oklasków.

I istotnie wydał się Linie pięknym i szla-

chetnym. Nie wątpliwie kochał ją „prawd-  
dziwie“, bo jej nie opuścił! On jeden!

Gdy drzwi zamknęły się za deklama-  
torem, Lina niezwłocznie pospieszyła do  
umywalni, poczęła z pomocą zimnych okła-  
dów zacierać szlachetne ślady bohaterskiej  
ręki.

Wobec troski o krasę, wszystkie inne  
sprawy pochowały się w kąty, Stach prze-  
stał istnieć całkiem. Tylko brzmiała jej  
w uszach straszna groźba i wielkie słowa:  
„Zastrzelę się u nóg twoich!...“ Nikt do niej  
tak nie mówił nigdy! Nikt! Hrabia jeden  
kochał ją prawdziwie! Prawdziwy hrabia!..

Gdy wreszcie pomyślała o pakowaniu,  
gdy ogarnęła okiem jasną sypialnię zdjął  
ją żal. Miło było tu, ładnie i przytulnie. Tak  
czegoś inaczej niż wszędzie tam, gdzie przy-  
chodziło jej mieszkać. Gnieździła się tu niby  
w kolibra zaciszu, jak najporządniejsza na

---

świecie kobieta — jak studentka kształcąca się w językach, przestając z kochanym artystą. Tak było tu porządnie!...

Znowu czekała ją tułaczka...

I nie pojedzie za granicę! A prawie „wszystkie“ były już zagranicą. Nawet taka brzydota jak Alinowiczowa jeździła do Włoch, a mianowicie do Ostendy, przywoziła biżuterje, przechwalała się po garderobach opowiadając o kąpielach w jakimś morzu, o kostjumach, wycieczkach samochodowych i szykach! Miała szczęście. Albo ta Gawlikowska wyszczekana? Bywała w Belgii, mianowicie w Monte-Carlo z facetami. Takie ordynarne tłuki zawsze mają szczęście....

Ona nie miała szczęścia... Musiała wynosić się z tego gniazdko. Tyle, że tam, na występach grywać będzie trochę inne





role niż w Warszawie. Zagra swoją „Frou-Frou...”

Ach, jak to wtenczas w Humaniu po przedstawieniu tej sztuki ów młody ziemianin klękał przed nią jak przed świętością, mówiąc: „Genialna, boska i najprzecudniejsza na świecie”... Dobry, miły człowiek! Jeszcze rok temu, gdy zebrała się na list do niego (jedynie dzięki hrabiemu, który słusznie przypominał jej obowiązek grzeczności towarzyskiej) i zapytała go jak się miewa, nadesłał jej pięćdziesiąt rubli z uprzejmym listem. Gdzie podziała się jego fotografia?...

Ach, Boże! Ale twarz jej...

Pobiegła znowu do zwierciadła.

Dobrze. Jeszcze tylko leciutki rumieniec.

— Michalino! — zawołała z sypialni do służącej, pakującej w pierwszym pokoju dużą, aktorską walizę. — Suknie ja sama





Stach?! Istotnie Lina nie pomyślała o „tem“ wcale!

— Niech Michalina mu powie, że musiałam koniecznie wyjechać na występy... Na występy! Bardzo jestem tam potrzebna. Napiszę do niego.

Po chwili Michalina ozwała się półgłosem:

— Tak to pani odjeżdża takiego dobrego, młodego pana?

— Ależ, Michalino, muszę pracować na życie! Nie jestem przecież u-trzymanką!

— Szkoda, że państwo się rozchodzą — bąknęła jeszcze służąca — Taki dobry pan. Nigdy złego słowa. Nawet mej Maryni zawsze powiedział „dzień dobry“, po buzi ją pogłaskał...

Coś jakby zastanowienie odmalowało się na licach porcelanowej lalki.

Długo milczała nim rzekła:

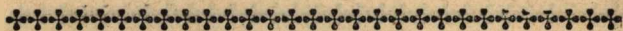






## VIII

Kiedyś, w Paryżu, Stanisław wystawił płótno, obrazujące głowę zgrzybiałej cyganki o brzydocie czarownicy, z oczyma tak dziwnie postawionemi, że z którejśbądź strony widz spozierał na nią, wzrok jej spoczywał na nim uparcie, szedł za nim, śledził go, nie opuszczał. Zimne, stalowe promienie tych źrenic przenikały go, zazierały w tajne szczeliny duszy, brały w moc swoją i opłatały pasmami, niby zdradzieckie wodorody



pływaka, co dostał się wypadkiem w ich dziedzinę.

Byli ludzie tak wzrokiem tym zahypnotyzowani, że nie mogli oderwać się od obrazu, nie mieli siły odejść, wyzwolić się z pod mistycznej władzy tego meduzowego spojrzenia. Chodząc po sali tu i owdzie, czuli zawsze na sobie przygważdżające źrenice więdźmy i kurczyli się w sobie pod nieustanną świadomością ich wejrzenia, leżącego na nich kamieniem.

Dopiero, gdy kto czy to pochwyciwszy ich, czy zbudziwszy żywym słowem, wytrącił ich z pod magnetycznego czarunku, wychodzili z sali, oddychając swobodnie. Ale i później jeszcze nawiedzała ich wizja tej głowy niezapomnianej wraz z odcieniem zaznanego wrażenia i wtedy zamierało tętno ich życia, na powierzchni ich duszy rozlewały się wo-



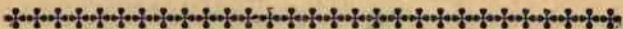


dy ogromnej melancholji, bezbrzeżnej nudy życia — taedium vitae.

Twórca sam dziwił się nad tem, co stworzył. Poczytywał on twórczość za proces naukowy, przystępował do niej z pełną, napiętą, najczujniejszą świadomością celów i środków, ale w tym razie przekonał się, że jednak po za świadomą pracą ducha potężnego tkwią w sferze podświadomości ogromne i istotne moce twórcze, które dają pohop do czynu artystycznego, wywodzą go na jawę z morza nagromadzonych wrażeń i prowadzą mu rękę. Bo dokonał więcej aniżeli zamierzał. To go przestraszyło, gdyż pojął, że nie wie na jakiej fali unosi się dusza jego, jakie kryją się w niej zadatki przyszłości i tak stracił wiarę w możliwość sterowania swem życiem.

Obraz ten nazwał ktoś „Konieczność“, „Przeznaczenie“, ktoś inny „Ananke“ i pod





tą nazwą pisano i mówiono wiele o „Cygance“, która właśnie dzięki tej czarodziej-skiej swej właściwości wysunęła Stanisława na świecznik, zjednała mu rozgłos krytyki i wzięcie u kunsthaendlerów.

Nagle oczy te wszechwiedne, okrutne spojrzały w jego serce, gdy wyszedłszy z opustoszałego mieszkania Liny runął w krzesło swej pracowni i zapadł się w siebie, legł na rumowisku swej idylli.

Był jakby na pustynnej wyżynie, wyso-ko ponad mrowiskiem ludzkim i rozgwarem spraw jego — nagi, samotny, wśród eterów zawieszony, tworząc niejako planetę. A wzrok ten, operując z siłą słońca, patrzył nań z za-światów niby na ofiarę sobie wydaną na pastwę, ssał zeń soki żywotne, zabijał po-woli.

Mysł rozbita, płynna niby złudny, mi-gotliwy płomyczek dotykała tego i owego



w locie motylim i rozwiewała się gdzieś w mgławicach bezkresnych. Jedno tylko odrysowywało się wyraziście w jego duszy: twarz cygany i dopiero teraz zrozumiał, co stworzył, szepcząc:

— To Cierpienie...

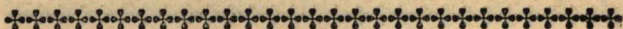
Pochylił przed nim głowę, jak przed okrutnym bożyszczem, co w każdą życia ludzkiego chwilę, w każdą złotą gwiazdę radości ziemskiej wplata szarą nitkę z swego kołowrotka.

Z pustelniczej pracowni przeszedł do Świątyni Cierpienia i skamieniał w posąg.

. . . . .

Ocknął się. Znalazł bowiem w duszy jakieś zdawna skryształizowane postanowienie...

Powstał, niby w śnie autohipnotycznym,



wyjął z szuflady niewielki browning, wsunął go w kieszeń i udał się do dawnego mieszkania Liny, automatycznie, jakby obcą kierowany wolą.

Niósł w sobie głuchą pustkę i śmierć.

Służąca Liny coś mu gadała. Wszystko to ślizgało się po powierzchni zeskorupiałej duszy, jedno tylko ugrzęzło w jego umyśle: „wyjechali...”

Oddalił się.

Jakiś głos szepnął mu, że mógł z pomocą Zośki snadnie dowiedzieć się dokąd pojechali, ale poprostu nie miał sił. Wlókł się bocznymi ulicami lub trzymał się jak najbliższej kamienic w instynktownej obawie, by go kto nie spotkał, nie zaczepił.

Zamknął się w sobie.

Serce rozkrwawione było opancerzone nieczułością i ból nie rozplýwał się w organizmie tak dalece, by wnikać do głębi zwo-



jów mózgowych, niecić w nich pełną świadomość wszystkiego i budzić roje myśli. Otrzymał zniecka ranę ogromnie bolesną, ale nie wiadomo skąd.

Legł na otomanie, przymknął powieki i spoczywał omdlały w półśnie—półjawie.

Mijały godziny.

Noc schyliła się nad miastem, objęła je w fiolety, w kiry i wchłaniała w siebie głosy ziemi.

W Alejach ustawał ruch, wszystko milkło, wtapiało się w majestatyczny spokój, tylko ból gryzący nie martwił w cichości; chwilami zrywał się, jak wichura, przeszywał duszę jęklwym świstem i malarz niby na tortury wzięty wił się w kantorsjach.

Trjumf zła!...

Zerwał się, odruchem tym chcąc uciec od węzowiska bólów. Przeszedł przez praco-

wnię raz i drugi, ale nogi miał jakby ołowiem obciążone, głowę w ogniu.

Zdawało mu się, że usnie. Wszedł do sypialni, przekręcił guzik w tapecie i wężyki elektryczne łysnęły w kinkietach.

Wzrok jego padł na ścianę naprzeciwko łóżka i wielka radość trysnęła w sercu niby fontanna, wyrwała go z odmętów, rozświetliła mroki tęczową latarnią.

Słup nagiego ciała kobiety zajaśniał — Liny w naturalnej wielkości.

Z obu stron nymfy zwieszały się gałęzie drzew parkowych, pragnąc przytulić się listkami do marmurów ramion i nóg, całować śliczności. W tem obramowaniu, na tle rozmarzonego pejzażu — błękitnostalowej tafli stawu oplecionego sitowiem — bieliła się jej postać tak lewym bokiem do widza zwrócona, że uwydatniała się śpiewna, dziewicza linja jej ciała atlasowego, spływająca z uwo-





dnym wdziękiem. Miękkie, prawidłowe kontury pleców, bioder i nóg o skończenie doskonałej karnacji łączyły się w oku artysty w harmonję rysunkową, pełną tajemniczego, symbolicznego znaczenia. Ciepły podmuch zefiru czy kadzielna woń ziół wyróżniała miejscami śniegi ciała, kładąc na nie tony zalotnych uśmiechów, nadając im życie.

Nymfa wyciągnęła w bok lewe ramię, z pod którego wyzierał różowy szczyt piersi, i trzymając w ręku okrągłe zwierciadło srebrne utkwiła w niem źrenice uszczęśliwione widokiem. I, jak kwiat świeży, wykwitł na usta uśmiech przesłodki, złocisty.

W niem i w tej uwodnej, syreniej linii ciała, zamknął artysta istotę Liny, która potęgą swej prawdy wychodziła z ram, jak żywa. Brak tylko było łabędzia czołgającego się do nóg jej z wygiętą szyją, z żądnym pieszczoty dziobem.



W zachwycie czystego serca malarz zapomniał na chwilę o wszystkim i padł na klęczki przed obrazem, przyłgnał ustami do płótna, niby do relikwji, całował drobne jej stopy dziękczynnie za to, że istniała, że była radością jego oczu. Szedł pocałunkami wyżej i wyżej, szepcząc w duszy pieśń i oplatając obraz rozkrzyżowanemi ramionami, ale gdy zbliżył usta do twarzy, odskoczył nagle.

Odepchnął go ów uśmiech. Czy radość, czy ból grał w nim, czy miłość i ekstaza, czy wzdarda i klątwa wyrywała się z jego piersi, na twarzy jej igrał zawsze uśmiech zaślepionej w sobie, zimnej na wszystko kobiety.

I raptownym rzutem myśli rozkiełznanej ujrzał inny obraz — straszny.

Na słowo hrabiego, wołą jego złamana niewolnica zsuwała się na kolana przed ło-



---

zem błazeńskiego satyra, śliczność swego ciała składając w daninie, i pada na szpetne jego łono twarzą. Przywierają się do niego rączki jedwabiste i wargi pieściwe, czarowne.

Prąd szalonej rozkoszy odbija się straszonym refleksem w piersi malarza... Wszystko wre w nim ogniem piekielnej boleści, kłębi się, kotłuje, bucha krzykiem grozy na najwyższy ton napiętej, zmienia się w płonący krzak protestu. Sycząc, dygocąc w szponach demona zwała się na podłogę jak długi, ukrywa w dłoniach twarz skurczem męczeńskim napiętnowaną, tragiczną. Targa włosy, wpija paznogie w czaszkę oszalałą...

Piektło!... Tego nie widzieć! Nie widzieć!...

Szatański oprawca jakiś hak utopił w jego piersi, przeszył go stu strzałami, drze skórę jego w pasy i torturowany opętaniec ta-





## IX

Noc najczarniejsza przykryła mu duszę błogosławioną dłonią.

Gdy wreszcie dźwignął się na nogi, zdziwił się jasnością, panującą dookoła, tak sprzeczną z stanem jego duszy, nieprawdopodobną. Czyliż tyle blasków istniało na świecie?

Nagle myśl jakaś nikłym blaskiem łysnęła po cieniach jego twarzy.

Uciec od siebie!...

---

Począł gorączkowo przewracać wszystko w dolnych, zapomnianych szufladach biurka.

Wydobył paczkę dość dużą, skrupulatnie zawiniętą w gruby papier, w której znajdowało się kilka przedmiotów tajemniczych: lampka z boków oszklona, do kagańca podobna, dalej gliniana, czerwonawa fajeczka, jakby z terakoty, obok niej cybuszek bambusowy, blaszane pudełko oraz kilka długich igieł, oprawionych w kość słoniową.

Wszystko to przeniósł do sypialni, położył na niskim stoliku przy łóżku. Zgasił kinkiety elektryczne, zapalił dwie świece i nawpół rozebrany wyciągnął się na posłaniu...

Zaczem z pewną ciekawością otworzył chińskie pudełko i przyglądał się ciekawie jego zawartości. Zatlił kaganiec, przy-



---

gotował fajeczkę i z pomocą igły wyłowił z pudełeczka ciemnobronzową maleńką bryłkę zgęszczonego, zasuszonego mlecza z niedojrzałych makówek, lepłą jak miód gęsty, i począł nagrzewać nad płomykiem.

Ciemna bryłka pęczniała w ciepłe, rozrastała się w kręgliwą, następnie cylindrową gałkę, którą Stach zanurzył w pudełku, w gęstej cieczy, wzmacniając tak nową warstewką, i powtórzył tę procedurę kilkakrotnie, dopóki gałka nie doszła do rozmiarów, orzeszka. Ugniótł ją na płaskim brzegu fajki w stożkowaty kręgiel, którym zatkał otwór fajki.

Było to opium.

Jakiś apteczny zapach drażnił jego nozdrza...

Podróżując po Francyi z artystą paryskim, który spędził kilka lat na dalekim Wschodzie, Stanisław nasłuchiwał się od niego





wyczuwał skutek — w odurzeniu upojnem, jakie omotało mu głowę odrazu. Przez sekundę podniosły się do krtani mdłości, zdało się, że nie uniknie wymiotów, jednakże przykre to uczucie rozplynęło się w jakimś tumanie błogości. W żyłach czuł luby prąd ciepła, w duszy mrocznej brzask jaśni nieznaney.

I sięgnął igłą po nową dawkę opium — już cały zanurzony w niepamięci, w beztrosce.

Wprawnie obracał, manipulował igłą, przypalał opium nad płomykiem, wciągając nozdrzami zapach, rozlewający się wokoło, i chciwie zachwycił cybuszek wargami.

Wzmogło się odurzenie. Miękka, aksamitna słabość przystąpiła do niego, objęła go senliwym ramieniem kochanki i spłynęła po przez członki niby źródło słodczy arkadyńskiej. Zdjęła zeń wszelką troskę i — oko-



wy ciała tak, iż zdał się gwiazdą w przezroczach zawisłą — duszą.

Usił głowę na poduszce, ukojony jak dziecko, rozmarzony, ukołysany w stan spokoju nieziemskiego, pełnego jakichś przeczuć czarownych, purpurowych i uśmiechów rozkosznych.

Splonęły wszelkie myśli i niby rozdrzana iskra świadomości pozostał w krainie snów, jakby w głębiach stawiań się, w rdzeniu istności.

Aż wreszcie ujął igłę po raz trzeci.

Tymczasem w przestrzeni pokoju ciągnęły się leniwe, ciężkie zwoje dymne, stężałe, szare, upajające. Rozsnuwały się powoli w mistyczne, kwietne kielichy odorów dziwnych.

A z rozwartych źrenic palacza strzelały blaski fosforyczne, prześwietne. Na licach miał wypieki szkarłatne, na drgających war-



---

Zrazu blaski kryształów oślepiły go, czary kładąc na niego, aż wreszcie ujrzał srebrzyste łoże królewskie, ujęte w ramy płyt srebrnych, wyobrażających w płaskorzeźbach sceny z dziejów Erosa i Psychy. Nakryte było śnieżnemi gazami, nakropionemi brylantami i perłami, a pod niemi spoczywała jak martwa blada królewna z niezłym sercem, imieniem Skarbonka.

Skoro wzrok pierota spoczął na niej, zapłonął świetlanem uczuciem i oczy rozkochane odkryły w niej Tę, której szukał po tęsknych, ciernistych drogach życia, wyczuwając ją gdzieś w wszechświecie jak gwiazdę swego życia.

Lecz ona nie żyła! A gdy dotknął jej, przekonał się, że była — z porcelany.

Jednocześnie wszakże zrozumiał, jakby przez ducha labiryntu oświecony, że „kto ją zbudzi — posiadzie jako niewolnicę“.





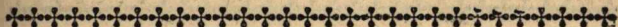
---

Przyłgnąwszy do posadzki płaz czy ptak bryznął w oczy Amanta chichotem niby śliną i fruwa bez szelestu w nieobliczalnych zygzakach, uczepia się ściany kryształów, przyczaja w najciemniejszym ich zakątku i tak unieruchomiony śledzi martwym, a demonicznym wzrokiem kroki Amanta.

A on pojmuje, że ów wampir jest wcieleniem zła, że on to ssał krew życia królowny i czuwa nad jej snem kamiennym.

Ha! ha! Bez troski o niego, w pięknym zapale Amant oplata królownę powojami najczulszych ramion, przytula ją do łona, zakuwa w pęta zmysłów gorejących. Ogrzewa ją żarem miłości płomiennej, krzepi ją płodem żrzałym, kołysze muzyką słów słodszych od miodu z Hymetu.

W spowiciu tem, niby pod dotykiem Jutrzni różanopalcej różowieją lica królowny, w świetle tęczy Erosa rozświetla się,



rozkwita jej postać i Amant rozradowany odskakuje, patrząc, ażali królowna powstanie, zmartwychzbudzona iskrą miłości.

Ale w momencie blask gaśnie i zimny pokój powleka królownę z porcelany.

Ha! ha! ha!....

Teraz Amant nieustrudzon stroi ją w barwne kwiaty. Wpierw ustawia w krąg fontanny palm pióropuszystych, chroniąc uspio-ną przed złym wzrokiem wampira. Pod wachlarzami palm sterczą gaiki kamelji różno-barwnych, wznoszą się asfodele i amaranty. Pęki mimosy złotej oplatają łożnicę, girlandy liści dębowych składają się u podnóża w ko-bierzec koronkowy. Mozajkami barwnych kwiatków okrywa pierot jej stopy, w rączkach jej bielą się konwalje panięskie, na sercu jej spoczywa wiązanka fijołków pachnących.

Zaczem Amant otacza ją wszystkim

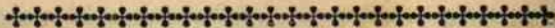


co przyniósł z sobą: wawrzynami swej chwały, złotemi blaskami swej duszy i plecie wianek najcudniejszych róż miłości i poświęcenia, by ukoronować nim jej głowę. Wije ślubną wiązanekę, wszystkie kolce róż obrywając skrupulatnie, chociaż skrzywdzone kwiaty mszczą się doraźnie. Każdy świętokradzko odłączony kolec wpija się w jego rękę w jego ciało, ból dreszczem żrącym przenika kochanka, sięga aż do posad serca i krople krwi serdecznej czerwienią się u nóg królowny.

A z ust Amanta płyną jednak tubadura dźwięki, soczyste eliksirem miłosnym, pod których ciepłem łąki zakwitłyby kwieciem, białe róże w purpurę oblokły radośną i ptaki zaśpiewały pieśń rajska.

Królowna zaś śpi zaklęta. Ha! ha!...

Więc Amant rozrywa pierś, wyprówa serce i wielkim gestem ciska jej na piersi...





Oddał Skarbonce wszystko, wszystko. Każda myśl, każdy oddech, każdą krwi kroplę, nie pytając się, żali ona zwróci mu coś niecoś z utopionych jego skarbów, lecz chcąc w mężkiej i twórczej dumie dać jej życie, dać szczęście i cieszyć się jej życiem.

Ale daremnie. Królowna śpi. Ha! ha!...

Cisza.

Jeszcze Amant czeka — czeka cudu, gdy w tem wampir wzlatuje, biesa wzrokiem tocząc dookoła, śmiejąc się zcicha, zdradziecko.

Zniża się cichuteńkim lotem i nagle spada na twarz królowny.

Cóż to? Plugawem skrzydłem, niby dłonią wymierzył jej policzek głośny...

— I — o! dziwo! — królowna z porcelany nie rozbiła się. Powstaje z łożnicy,



odchodzi w ślad za wampirem, bez spojrzenia na Amanta, bez słowa...

— Cha! cha! cha! — Malarz zanoszą się od śmiechu. Nic tak pięknego nie widział w życiu, nigdy pięknem barw i blasków nie rozkoszował się tak jeszcze, nigdy tak pociesznej nie oglądał farsy!

— Cha! cha! cha!... — chichocze serdecznie, kołysze się cały w gamie śmiechu, rozplywa się całą istotą w jego świetlanym, srebrnym potoku gubi w nim pamięć wszystkiego... Na skrzydłach wonnych akordów wznosi się nieznacznie na ojczystą swą planetę — w krainę Romanusu, gdzie arfa Ariosta wita go, rzuca mu w serce deszcz słońc rubinowych...

A na wargach głodnych kładą się do bezkresnego snu Radości — usta Skarbonki...



BIBLIOTEKA  
URZĘDNI: TOW: WZAJ: UB: W KRAKOWIE  
SEKOYA IV

X

— Idź zaraz do Ochnackiej i odbierz od niej moją bluzkę!

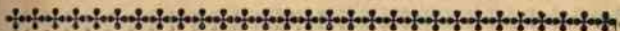
— Mówiła ci przecie, że potrzebuje ją do sztuki.

— Toż grała w niej onegdaj i jeszcze mi nie oddała. Koronkowa bluzka...

— Cóż mnie obchodzą wasze babskie płaty? Idź sama do niej. Zresztą bluzka ci nie uciecze.

— Nie uciecze, bo nie ma nóg, ale





Lecz raptem ciemna jego maska sinieje, staje jak wryty, oczy wychodzą mu na wierzch i przerażenie obezwładnia mu nogi na chwilę. W mgnieniu oka ni stąd ni zowąd wpada charciem skokiem do najbliższej bramy i znika.

Lina zdziwiona srodze rozgląda się, nigdzie nie spostrzegając nic, co wytłomaczyłoby jej przyczynę raptownej hrabiego ucieczki. Zrzadka snują się ludzie. Nikogo między nimi znajomego. W kamienicy tej nie mieszka nikt z „artystów“, nikt z przyjaciół drużyny.

Czeka, nie wychodząc ze zdumienia, przechadza się wolno przed bramą, zagląda do niej, na podwórze. Nic. Nigdzie nie ukazuje się czarny melonik hrabiego. Przepadł jak kamień w wodzie — skrył się do ustępu i przez godzinę nie śmiał wychylić nosa z obawy przed malarzem, któ-

---

rego strach ukazał mu w postaci innego, z figury nieco podobnego mężczyzny.

Lina zatem powędrowała sama do restauracji, gdzie przy osobnym stole obiadowali już „artyści“ w asyście dwóch melomanów dotkniętych bakcylem teatralnym, którzy świadomi zaszczytu jaki spływał na ich „burżujskie“ osoby przez to, że przypuszczono ich do stolika artystycznego, okupowali go obfitymi fundacjami likworów.

Wśród tej czeredy największą czuła się Ochnacka, niewielka, fertyczna blondynka z niebieskimi, małemi, a złemi oczyma, która powitała Linę jakby z katedry:

— Gdzie to pani podziła pana Tadeusza?

— Nie mam obowiązku pilnowania go — mruknęła Lina, nie podnosząc na nią oczu. Wyczuła w jej tonie szpilkę ani-

---

możji, a na wspomnienie bluzki zakipiał w niej nanowo gniew.

Na to Ochnacka nie pozostała dłużną odpowiedzi.

— Obowiązek pilnowania go miała-  
by tylko żona... odrzekła jadowicie i spoj-  
rzała po twarzach dwóch innych aktorek,  
które uważały za najstosowniejsze zacho-  
wać się biernie w koguciej walce między  
Scyllą a Charybdą, czyli między dwoma  
kobietami „dyrektora“.

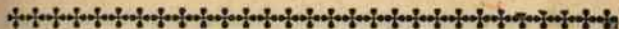
— Co panią to obchodzi czy jestem je-  
go żoną czy nie? — broniła się nieudol-  
nie Lina.

Zdjął ją wstyd nieokreślony i pognębio-  
na nie miała odwagi wyrzucić słów, jakie  
miała na ustach: „pani psim obowiązkiem  
jest oddać mi pożyczoną bluzkę.“ Wydało  
się to jej ordynarnem, wstrętnem.

Zamilkła i spuściła nosek nad pustym







w innej sztuce, której osią była Lina, dalej krytykowała jej repertuar, odzierała ze skóry najlepsze artystki sceny warszawskiej, do której należała Lina, w ten „delikatny“ sposób dając jej do zrozumienia, iż jest jeszcze gorszą od skrytykowanych. Cała jadowitość niewieścio-aktorskiego języka święciła istny trjumpf, który z każdą inną, mniej anemiczną kobietą byłby doprowadził do doraźnej rozprawy na piąstki i paznogie, do tłuczenia talerzy i tym podobnych, sympatycznych intermezzów.

Lina miała obiad zaprawiony piołunem. Słyszając to wszystko, pocieszała się myślą: „Bogu dzięki, że jutro będziemy w Warszawie. Z dalszych występów zrezygnuję.“

Gdy pod wieczór oznajmiła swe postanowienie hrabiemu w cztery oczy w cia-



szacunkiem i że żyjesz z szanownym człowiekiem dobrego rodu.

— Ładnie mnie szanujesz? — rzekła uspokożona już deklamacją na temat szanowania Lina. — A, flirtując z Ochnacką rozuchwaliłeś tę podłą szansonistkę. Zmalowała mi scenę...

— Moja Lino, jeżeli chodzę koło Ochnackiej, to przecież jedynie w twoim interesie... Dla kogo urządziłem to „tournéé”? Dlaczego staram się wydobyć z niej...

Nagle urwał, głos mu zamarł i szybkim krokiem poskoczył do drzwi, wyrzwał cichuteńko na korytarz i długo nadśluchiwał. Wreszcie powrócił do Liny, siadł naprzeciwko niej i mówił półgłosem:

— Czemu pragnę uzyskać trochę funduszów, jeśli nie na sukienki dla Liny?... Gdybym nawet ożenił się z tą Ochnacką, to tylko przez wzgląd na ciebie. Ja jechał-

był z nią na wójaz poślubny drugą klasą a Lina jednocześnie pierwszą...

Uśmiech zadowolenia okraślił blade li-  
ca Liny. Olśnione „pierwszą“ klasą i per-  
spektywą sukienek, lubo wiszących jeszcze  
pod obłokami dziecko, spytało:

— Ożeniłbyś się z nią?

— No, to mówi się tylko...

— Musiałbyś przecież zmienić wiarę—  
rzekła, bo za cenę „sukienek“ odstąpiłaby  
tego kochanka Ochnackiej.

— Nie zrobiłbym tego... Zanadto je-  
stem przywiązany do naszego kościoła. Zre-  
szta nie wypada człowiekowi mego rodu  
zmieniać wyznania.

Ciche rozczulenie zdjęło Linę. Nie-  
zlomność hrabiego na punkcie wiary zaczy-  
tała mu za cnotę. Wszystko, co prawił jej  
w ciągu lat o swym rodzie, o swym ogrom-  
nym dla niej szacunku, o swej miłości, po-

---

święceniu, o swej religijności, szlachetności i t. d. przyłgnęło do niej, wżarło się w nią tak, iż stało się integralną częstką ustalonych jej pojęć. Wierzyła w to ślepo, bezkrytycznie, niezachwianie, jak dziecko w pacierz i bolało ją, gdy kto kwestjonował te dogmaty.

Hrabia odegrał jedną z koniecznych scenek w ich pożyciu, jakie bez pomocy suflera umiał na każde zawołanie, i zapalił papierosa.

— Po przedstawieniu mogłabyś pójść na tę herbatę... — bąknął przed wyjściem.

— Nie chcę. To dobre dla takiej Ochnackiej, Służewskiej. Niech sobie Ochnacka flirtuje z tymi panami.

Hrabia zastanowił się. W istocie, nie oczekiwał nikogo przy kolacji na kogo Lina mogłaby swą urodą zrobić silniejsze wrażenie, dające się zrealizować w brzęczą-



---

cej monecie, więc przeszkadzałyby tylko i jemu i Ochnackiej, którą obecność Liny pozbawiłaby potrzebnego humoru.

— Masz rację — odrzekł dyplomatycznie. — To nie jest towarzystwo dość dystyngowane dla ciebie. Ja muszę pójść... Interes tego wymaga. Trudna rada...

Westchnął, przybrał minę ofiary i — pocałował ją w rękę z atencją.

Krótko potem, gdy Lina miała pójść do garderoby, zastukano do drzwi i w progu ukazała się subretkowa figurka Ochnackiej.

— Pana Tadeusza niema?... — szepotała naiwnym szczebiotem, jakby przy otwartych drzwiach swego pokoju nie była słyszała go wychodzącego i nie czyhała na ten moment.

— Poszedł do kasy — rzuciła krótko spochmurniała Lina, czując, że Ochnacka



---

w tym celu zajrzała, by jej dokuczyć, rozirytować ją przed przedstawieniem, w którym ku zawistnemu umartwieniu Ochnackiej, miała główną rolę.

Złe ognie płonęły w źrenicach „artystki” — i ozwała się tak głośno, by było sły-chać w korytarzu i w przyległych nume-rach.

— Pięknie, że pani to robi taką dostoj-ną damę, chociaż między nami mogłaby się pani nie fatygować, a przedewszystkiem... nie obszczekiwać koleżanek... i to tak, że sły-chać w całym hotelu...

— Kto kogo obgadywał? Jak pani śmie!?!...

— Czy to nie wysłała mnie pani do szantanu? Co? Wielka mi artystka! Przy-jechała z Paryża!...

Tu języczek artystyczny rozgalopował się na dobre, mełł z szybkością oszalałego



młynka, wyrzucał plewy, rozsiewał niepa-  
chnącą kurzawę a Lina, siedząc przy oknie  
blada i rozbita poddawała się bombom i gra-  
natom swady.

— Nie wstydzi się pani podsłuchiwać  
pod drzwiami? Rozpuszczać język jak prze-  
kupka? Proszę odejść!! Muszę pójść do gar-  
deroby.

Ochnacka barykadowała wyjście a tchó-  
rzliwa Lina obawiała się forsować pozycję,  
więc musiała połknąć nową tyradę uszczy-  
pliwości, przytyków i wyzwisk, nim wydo-  
stała się z opresji rozdenerwowana, niemal  
bezprzytomna.

Zazdrość o hrabiego i gniew o to, że  
on sprowadził ją z Warszawy, fermento-  
wały w aspirantce na Modrzejewską tak, że  
szukała sposobności, by Linie „odpłacić za  
wszystko“.

Było to w myśl polityki hrabiego. Spro-





---

lizować jego niewolnicę. Chociaż przeto miał paniczny strach przed browningiem malarza, odważył się zbliżyć do Liny i zabrać ją jako swój cenny przedmiot, gdy „przyjaciel“, aktor nie mający nic piękniejszego do czynienia nad szpiegowanie malarza, doniósł mu telegraficznie o tegoż wyjeździe.

A Lina, popchnięta w kałużę nieprzebranego błota koczowniczych historjonów, brodziła w niem automatycznie, jak gęś w znanym sobie stawku, szczypana, poszturchiwana pod nosem swego hrabioskiego pół-małżonka, uważając to za coś nieodłącznego niemal od artystycznej kariery. Niemniej jednak dnia tego gniew, oburzenie, gorycz targwały nią jak brzoską wąż i rozstrojona „położyła“ rolę—stosownie do obrachunku Ochnackiej.

Ten i ów widz wprawdzie obdarzył ją oklaskami za pewną dystynkcję, jaką wno-



siła z sobą na deski sceniczne, ale Lina czuła, że za kulisami naigrawano się z niej z lubością, czyli z zjadliwością piekielną, jak tylko potrafi to aktor, a jeszcze lepiej aktorka. Zła, zmartwiona, przytem znużona fizycznie, wyczerpana nerwowo schroniła się zaraz po przedstawieniu do numeru.

Padła w mebel, nazywany fotelem, i zmartwiała tak, zagasła w cichuteńkim akordzie beznadziejnej, bezdennej niedoli. Jak słabe, chore dziecko spoczywała tam, gdzie umieścił ją los — hrabia, tak dalece niezdolna do aktu woli, że nawet na myśl jej nie przyszło, iż mogła przecież snadnie wyrwać się z tego środowiska, — takim fatalizmem inercji dotknięta, że literalnie wszystko, co ją spotykało przyjmowała prosto za dopust Boży.

Łzy zaszkliły się w jej ładnych oczach, toczyły się gorącym strumieniem po licach



---

nie odcharakteryzowanych jeszcze. I zaświtał w niej przeblysłk świadomości swego położenia, ujrzała się w brudnym domu zajezdnym, wśród jeszcze brudniejszej zgrai hijen i jaszczurek, na ich pastwę wydana, opuszczona, bezsilna. Zamajaczyła przed nią larwa nędzy, w jaką zapadała się coraz głębiej i głębiej...

Na moment zaświeciło przed nią jej zacisze malarskie — luba przystań rozbitka życiowego, jednakże w krótkowidztwie swem, w bezmyślności i ciasnocie sercowej nie uprzytomniła sobie tego, że bije tam dla niej kryształowe i gorące serce, o jakie modli się tysiące kobiet, głodem miłości nękanych, że Stach jeden nosił ją w zanadrzu jak ukochaną, chorą dziecinę, ogrzewał swą pierś, i wcale nie przyszło jej do głowy, że rzuciła go bez słowa i za to jego serce odplaciła mu ciosem.



---

Na dnie jej istoty, gdzieś w sferze podświadomości kryło się uczucie, że Stach, to li tylko epizod w jej życiu, jakby pod powłoką próżności uznawała się jednak za niegodną takiego człowieka. Dlatego tak pohopnie dawała posłuch hrabiemu, ile razy przepowiadał jej kres romansu z malarzem. Gdy Stach wziął ją do siebie, gdy poczuła się materialną przynależnością do niego, nieufność poczynała przygasać i trwożliwie świeciła w niej wiara w nowe życie. Lecz ciśnięta znowu na utarty swój szlak odwróciła się od niego myślami, zwłaszcza, że nie zaimponował jej nigdy aktem pogardy lub brutalności.

Dramat jej był dramatem pięcioletniego dziecka w ciele kobiety. W tej anomalji psychologicznej tkwiła rtęć jej nieszczęścia.

---

Płakała nad sobą — jak dziecko. A gdy-  
by była — jak kobieta — wylała jedną łzę  
nad Stachem, lub chociaż tylko za nim, ta  
jedna łza piękna byłaby jej zbawieniem.

---

---

## XI.

Gdy wędrowna drużyna wysiadła z pociągu w Warszawie, gdzie artyści mieli spędzić kilkodniowy etap, hrabia wsadził Linę w dorożkę a sam pojechał z Ochnaczką — drżąc z przyczajonego strachu na myśl o Stanisławie.

Co począć z sobą dalej, jechać z nimi na dalsze peregrynacje, czy nie jechać — Lina nie wiedziała.

Wprawdzie z zgrozą myślała o wszyst-



---

E! Pocałuje go, uśmiechnie się i będzie wszystko dobrze. Stach przecież wszystko jej przebaczy. On nigdy nie wywikła się z fałd jej sukni! Nie wyżyłby bez jej widoku!

Najpierw rzuciła okiem z podwórka w okna swego gniazdka opuszczonego i wspomnienie czegoś bardzo miłego przepłynęło przez nią żalonym wiewem. Westchnęła i stawiała sobie pytanie, co hrabia zrobił z pieniędzmi za jej meble, czemu nie sprawił jej ani jednej sukni, nie wykupił nawet jej futra.

Powoli wstępowała po schodach do pracowni malarza i obudził się w niej mglisty lęk przed pierwszym jego spojrzeniem. Bo jednak zawiniła trochę względem niego... Obiecała pisać, a nie było jakoś czasu. Powita ją oczyma takimi głębokimi, wyrazistymi...





---

śna, zwarzona tak, że nie zagadnęła ani słowem o małą Marynię.

Gdy następnego dnia służąca wyszła do niej z tem samem oznajmieniem, Lina zachnęła się, jakby oblana zimną wodą. „Podły!“, zgrzytnęła w duszy. Grymasił! A doprawdy nie było powodu, gdyż przecież powinien zrozumieć, jako wykształcony człowiek, że przyzwoita, szanująca się kobieta musi pracować na utrzymanie!

Udała się do siostry, by zasięgnąć języka o Stachu, lecz okazało się, że Zośka nie wróciła jeszcze od łóża chorego brata. Więc — przejrzała się u niej w zwierciadle i poszła po koleżankę Służewską, by wziąć ją z sobą do cukierni, gdzie pod wieczór spodziewała się zastać Stacha.

Istotnie ujrzała go na werandzie pochylonego nad gazetą. Wydał się jej postarzałym.

---

Wypuściwszy naprzód tęgą, strojną aktorkę, podeszła do malarza, jakby skrępowana z buzią ocukrzoną sztucznym uśmiechem.

— Co za niespodzianka! — wyśpiewała z fałszywą, iście aktorską nutą w głosie. — Nie spodziewałam się pana spotkać... Jak się pan miewa?...

Już szelest jej sukni przyniósł mu przecucie Liny. Błyskawiczny spazm radości szalonej targnął jego sercem, lecz natychmiast nastąpił gwałtowny opad miłosnej fali, fałszywa jej nuta zgnębiła wszystko, wskrzesiła przypomnienie mąk i katuszy.

Dźwignął na nią spojrzenie otchłanne i śmiertelnie błady patrzył na nią jak na upiora.

Stała przed nim nie Lina — miłość, lecz Lina — nieszczęście jego jedyne, największe...

---

— Dobrze... dziękuję — wymamrotał sinemi wargami, do reszty dobity tem „pan,” którem Lina rozmyślnie chciała go ukąsić za karę, a zarazem zamaskować swój stosunek z nim przed koleżanką.

Chłód wiał od niej i lodem opancerzał serce jego rozdrżane w wirach męczarni piekielnej.

Lina nie wiedziała, co powiedzieć, nieśmiały półuśmiech przymilny wykrzesła z siebie — na przynętę. On zaś odgadywał jeno ten uśmiech, czuł go na sobie fizycznie i — odpychał od siebie, jakby wszelki fałsz, zmieniony w bryłę nerwów nierządnych, roztargnionych i niesłychanie wrażliwych.

— Nie przyjdzie pan do naszego stolika?...

Brzmiało to już trochę inaczej, naturalniej. Jednocześnie znikła, przysiadła się





---

Ah, czemu ta kobieta nie mogła wykrzesać z siebie jednego rzetelnego odruchu serca, jednego szczerego słowa? Czemu nie mogła zdobyć się na proste: „Stachu, nie gniewaj się!!...” Przecież jeden dźwięk taki byłby rozpętał w nim morze uczuć tkliwych, zagłuszył jęki i bole! On byłby i ten cios złożył na stronie swej martylogii miłosnej, byłby odwrócił się od czarnych dni rozpacz i spojrzeniem złotem wyśpiewał jej znowu:

— Ty pieszczoto jedyna!...

Na samo przypuszczenie to tajała w nim głęboka uraza, pachnący zachwyty podnosił się z serca i, odczuwając na sobie fizycznie czar jej niepojęty, brał to marzenie w ramiona ekstatyczne, jak najmiłszą dziecinę.

Nie mógł żyć bez niej a z nią nie potrafił.

Więc żył z nią w myślach, nosił w so-





bie nieodstępną świadomość jej istnienia jak rozkrwawioną, rozjątrzoną ranę i długie, długie godziny spędzał, spoczywając jakby zamarły w malstroemie zrażającej boleści. Jedno tylko nie kłuło go cierniem: „hrabia“. Zawadzając o niego myślą, Stach dziwił się, że ten człowiek prawie dla niego nie istnieje.

W pierwszej chwili, pod piorunującym wrażeniem wykradzenia Liny, dzika, wyhodowana furja zakipiała w nim, krzyknęła o czyn. Niby w śnie autohipnotycznym szukał go, wyjąc głuchą żądzą zemsty, i — byłby wtedy niechybnie położył go trupem. Lecz, gdy szal minął, cała istota jego odpchnęła od siebie wizję tej plugawej figury, wzdrygnęła się najwyższym wstrętem i zamknęła się przed majakiem zła.

Zło jest nieśmiertelne — mówił głos refleksji. — Gdyby na świecie zabrakło takich

„hrabiów,“ stworzyłyby ich takie, jak Lina, lalki... Gdybym go zabił, któż zaręczy, czy Lina nie ulatywałaby sercem do widma tego, co panował nad jej duszą? Może śmierć wyidealizowałaby go i pamięć zamordowanego droższą jej była od niego samego?... Bronią nie można zgładzić ze świata myśli, uśmiercić uczucia. A zło jest nieśmiertelne...

Nie hrabia, lecz Lina trzymała w ręku wagę losów. I była złą, bo wybierała — zło...

Rozpacz, rozpacz szalona brała go jakby chochała w pazury głodne, szamotała nim niby wiechciem, waliła nim o głązy faktów niewzruszonych, wyciągała cęgami oprawczemi każdy nerw przebolały i przemieniała się w dziką wściekłość — przeciwko niemu samemu zwróconą ostrzem.

Szaleniec, w skarbonkę tę, niby w urnę ofiarną wrzucał wonne, kadzielne kwiaty



swych uczuć najpiękniejszych! Dobrocią, miłością, poświęceniem chciał pokonać zło nieśmiertelne, panujące piekielnym swym urokiem! Więc plwał sobie w oczy za to, nagrawał się z siebie, smagał się, biczował.

Cóż był wart, jeżeli nie umiał wyrwać lalki z rąk jakiegoś kretyna?! Jak słabym był, jeżeli wymykała mu się z objęć tak bezsilna kobieta? Jak głupim, jeżeli nie znalazł drogi do jej serduszka! Jak marnym, jeżeli nie zdołał przykuć żadnemi zaletami! Jak bezwartościowem próchnem, jeżeli stawiano nad niego wyżej kretyna! Był najnikczemniejszym z nikczemnych!...

Czas, by przewartościować walory etyczne! Jeżeli świat wielbił w nim talent, jeżeli kto cenił w nim wielkość serca i szlachetność duszy, to było to fatalnym błędem, gdyż wszystko to zmazywał jeden gest impertorskiej ręki zła, będącego widocznie praw-



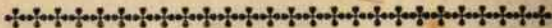


dziwą wielkością i świetnością. Więc Lina słusznie korzyła się przed niem jak przed majestatem, lizała stopy arcykapłana Bafo-meta, który bez najmniejszych zabiegów i ofiar wyjął ją z gniazdka wysłanego piórami kolibrów i słowików, wyjął jak pisklę, obskubał ze wszystkiego i tak zaskarbił sobie cześć i miłość... On zawładnął nawet astralną jej istotą i posiadał klucz do kobiecego serca. Dlatego on jeden zasługiwał na to, by ją posiadać, on jeden — ten nieuznany, ten znakomity mąż!...

Czyż słaby pacholek, uzbrojony li tylko w miłość, ofiarność i dobroć, miałby targać się na życie potężnego arcykapłana?! Chyba na to, by ujawnić bezmiar swej słabości, srom swej nikczemności!...

Jeżeli zabić — to siebie...

Zawaliło się rusztowanie wierzeń i ideałów i runął śmiertelnie raniony na głazy





czartoskiego uroczyska jakiegoś, gdzie wijąc się na torturach sardonicznej adoracji „hrabięgo“, sączyła z niej w duszę piołunowe krople pogardy dla siebie, zniechęcenia do życia i wszystkiego.

Bez niej, bez tej kobiety, której nie posiadał nawet wtenczas, gdy pieścił ją w ramionach — bezrealizacji wcielonego w nią marzenia miłosnego, będącego istotnym celem jego wędrówki życiowej, wszechświat cały był dlań niczem.

Chwilami rozbity na miazgę leżał bez ruchu na otomanie, chwilami chodził błędnie po pracowni, jak zwierzę, targany pragnieniem ucieczki z klatki — swych katuszy.

Jest li kraj, do którego schronić się można przed zmorą fatalnej miłości? Przed sobą?... Dla marzycieli istnieje utopia, dla jaśnowidzących amantów — nic.





---

bolu, zsunął się z jego duszy obłądny nastrój, i wtopił się w zorze srebrnego wspomnienia.

Nigdy o tem nie mówił nikomu, bo któżby go zrozumiał? Jakim cudownym środkiem naracyjnym czy sugestyjnym możnaby przenieść swe uczucie w pierś słuchacza? Czyż w lutni duchowej innych ludzi istnieją struny takie, które obudzone i dotknięte odpowiedziałyby sympatycznym zrozumieniem?

Może nikt nie doznał nigdy takiego uczucia jak on, uświęcony i unieszczęśliwiony ogromną harfą uczuciową o możliwie największej skali, obejmującej wszystkie tony serca ludzkiego? Więc pono nikt zrozumieć go nie potrafi. A właśnie taki nastrój wywołać w sobie — do tego koniecznie należy piąć się przez askezę duchową.

Nad pejzażem wieczornym zawisła go-





spodzianie na pasterskie niziny nadbrzeżne stróžują nad modrą tonią wód, przeglądają się w zwierciadle, mroczą, pogłębiają jego szafiry i szmaragdy a z południowego brzegu majaczą niby cieniście widziadła olbrzymów skamieniałych w posępnej zadumie.

Odplynął gdzieś w ciszę, w błękit, w dal. A z nim odszedł od wędrowca wszelki interes dla tego, co ziemskie, znikł świat.

Pozostał na pomoście, na tle niskiego hotelu i starej mieściny i przy nim stanęły samotność i cisza.

Desenzano, usłane na weroneskiem po-brzeżu jeziora nie dawało znaku istnienia. Oddychało wieczornym pokojem, dostrojone do królewskiego otoczenia, zapatrzone w misterjum piękna, ukołysane w sen anielski...

Opodał, na pomoście czerniły się sylwetki kilku zamarłych w oczekiwaniu lu-



dzi z wędkami w rękach, lecz polski artysta był sam z przyrodą, sam w łonie przysajającego pejzażu — z duszą jego w mistycznym zespole.

Zapał wzrokiem, duszą w kanwę barw pastelowych, w malarską treść obrazu i pasma idealnej, skończonej ciszy spłynęły na wygładzoną powierzchnię duszy, otuliły go pierzatką warstwą, opancerzyły przed odgłosami świata, skowitem niedoli ludzkiej. W tem aniołów spowiciu opadły zeń łańchmany bytowania codziennego, pyły znikomości, gałganki błahostek, kajdany cielesności i więzy ziemskości. Zacichło tętno serca, usnęło w nim życie, uszło się na niemych wód szybie, na łonie ciszy niepokalanej. Spłonęła wszelka myśl, wszelkie czucie, wszelkie chcenie; przeciekło to przezeń gdzieś, jak woda rdzawa, nieczysta przez sito i z skorupy cielesnej, umarłej



w bezwładzie niepamięci, wyłoniła się jaźń kryształowa — w rzeczywistość, przetopioną w świat ideału.

Mocą zachwyty wszystkich w jeden kamerton scharmonizowanych czynników wewnętrznych dusza jego wyzwolona wleciała nad czas i przestrzeń niby dźwięk arfy eolskiej czysta, w brylant łązy boskiej zaklęta a jakby rozświetlona czarem pejzażu i boskością ciszy przeogromnej.

Niczem nie była dusza jego jeno prześwieczeniem w blask srebrny zamkniętem poczuciem absolutnej swej harmonji—złożonem jak wianek na marmurowych stopniach świątyni Piękna.

Rozpięta na tęczy Spokoju przechyliła się na krawędź Niepoznanego...

A słońce zapadało po za grzbiety gór, oskrzydłając roztopioną purpurą niby wachlarzem ostrą koronkową szarfę konturów



górkich. Zciemniałe kolosy zrazu płonęły, zionęły ogniem krwawym — kratery na chwilę zbudzone do życia wulkanów. Potem promienowały wstęgami królewskiego rozpalonego złota, koronując Przyrodę aureolę najwyższego majestatu. Wreszcie dymiły się kadzielną kurzawą fioletów żałobnych, gasnących.

W naturze stawał się smętek.

Omroczyły się głowy Monte Fretto i Monte Pizzocolo, zciemniały gigantyczne piersi Monte Baldo i z łona gór, żalem wzebranych, wypłynęły smugi westchnień tęsknych — gazy perłowe, ociekające eterycznymi popiołami na wody. Rozpoczęła się gra barw szarych, popielatych w miljonowych przemianach i odmianach — przedziwna symfonia światłocieni wieczorowych, rozlewając na świat bezmiary rezygnacji i ukojenia. Powoli, powoli zasnuwały się







siatką snu góry i wody — splecione w jedność — w marzenie wieczorne.

Wraz z pejzażem przygasał, roztapiał się w perłach samotny wędrowiec.

A popielaty smutek nie kładł się na nim żalobnym cieniem. Bo w tym krajobrazie południa był on snadź nasiąkły takim morzem ciepłoty, był czemś w szarocie swej tak odmiennym od zwykłego nastroju kolorystycznego, czemś po dziennej orgii barw tak spokojnem, w jeden zasadniczy akord sharmonizowanem i dzięki temu tak nad wyraz czarownem, że dusza jego oniemiała stanęła w zachwycie, przyjmowała go za błogosławieństwo, czerpała z niego nektarowe krople skończonego ukojenia i najwyższej szczęśliwości.

Chociaż przez gazy te szła noc, szła śmierć...

Ani na mgnienie czasu jaśń jego nie



drgnęła lodowatym dreszczem; odkąd Bóg Cisza położyła świętą dłoń na duszę człowieka i zamieniła ją w kryształ, w gwiazdę ciszy przeogromnej, nie było w niej lęku ani żadnej rzeczy ziemskiej. Jak matowo stalowa szyba jeziora usłana pod dżdżem popiołów, spoczywała dusza jego w łonie nieskończoności i przyjmowała nabożnie zrządzenie konieczności jako najwyższe, jedyne dobro.

Cisza—śmierć. Pojęcia te odzwierciedliły się jako jedność w istocie jego, która przygotowana do przyjęcia sakramentu spozierała w oblicze śmierci jak święty w księżycową zjawę bóstwa.

Zwiśł kornie do śnieżnych szat bladołicej, w djadem gwiazd strojnej królowej życia-śmierci, z poczuciem takiej niewysłowionej szczęśliwości, jakiej nie poznał na ziemi nigdy, przenigdy...



Cudna, boska chwila spoczynku duszy  
po udreće życia.

Chwila wyzwolenia od życia.

Chwila zakrólowania nad życiem.

Chwila najwyższego uznania i najwyż-  
szej pogardy dla życia.

Chwila zenitowej mądrości i szczęśli-  
wości...

. . . . .

Odblask dawnego nastroju zwiął kiry  
melancholji z malarza, który spoczywał  
w kojących wodach wspomnienia, jakby  
bezciesny, wniebowzięty i na usta jego  
wypłynął wonny, szept kwietnego uniesie-  
nia — tajemnica wyjęta wówczas z łona  
przeogromnej ciszy:

„Najwyższem szczęściem jest zrozu-  
mieć wszystkimi tkankami istoty, że naj-  
wyższem szczęściem jest — śmierć...“



---

## XII

Deszcz niby sypki grad dzwonił o szyby, przygłuszał zgiełk uliczny, napływający do pracowni coraz słabszym, niewyraźniejszym mamrotaniem.

Szarota jakaś wszystko przenikająca rozsunała się pajęczyną, rozwieliżniła.

Stach odłożył paletę, pendzle, zeskrobał nożem farby położone codopiero na płótno i machinalnie sięgnął po fajkę.

Po jakiego diabła oszukiwać się?! Szu-



kał w pracy eliksiru zapomnienia, wmawiając w siebie zapał, — bezskutecznie. Pendzle wypadały mu z ręki, bo — zginął gdzieś cel, busola życia. Wszystko, wszystko odeszło od niego...

A jednak coś trzeba z sobą zrobić, by choć na chwilę zanurzyć się w młgawice niepamięci, ogłuszyć ból nieodstępny, co palił, gryzł, nękał i włóczył się po pieczarze duszy jak zmora. Koniecznie trzeba coś przedsięwziąć, czegoś się uchwycić, by módz żyć — chociaż zgasła wiara w możliwość życia...

Przeklęte, przeklęte to życie!

I głupie, bezdennie głupie...

Ot, przychodzi człek na świat — bez swej woli, nie wiadomo po co... Żyje, to jest cierpi czyli skrobie się, kalecząc nogi do krwi o kamyki, głązy i głogi na stromej ścieżynie swej, skrobie się na iluzoryczne wyżyny,



jęcząc i lamentując, skrobie się pędzony, chłostany, niemiłosiernie batogami stu obowiązków, konieczności, skrobie mocą automatycznego rozpędu swej maszyny — bez swej woli, nie wiadomo, po co to wszystko... I w końcu tej nudnej farsy wydaje się, że nie piał się wzwyż, lecz włókł po kałużach i bagniskach — bez swej woli, nie wiadomo po co... Cha! cha! Na to, by niby kupę mierzwy w dół go rzucono i zasypano wzniesionym własnoręcznie kopcem prac, mozołów i cierpień — bez jego woli, nie wiadomo po co... He, he!...

Co za idiotyczna instytucja to życie!...

Bezdenne smutek zasypał chorą, zatrutą duszę cygańskiego błędnego rycerza popiołem bezwładu. Wyciekły z niej ostatnie blaski radości życia i jakby największy nędzarz czy rozbitek odarty ze wszystkiego zapatrzył się upioremym wzrokiem w podło-



---

gę bezmyślnie, niby w grób otwarty, wsłuchał w jednostajny, nudny bełkot deszczu, wyczuwając w nim szepty nieubłaganej konieczności. Skamieniał w posąg cierpienia...

Aż wreszcie poruszył się niby po ciężkiej chorobie, powłókł powoli do szafki bibliotecznej i począł przerzucać stek francuzkich książek.

Na jednej z żółtych kart tytułowych czerniły się głoski: Sappho. Zatrzymał na nich oczy ciężkie załzawieniem, westchnął i skurcz bolesny wykrzywił mu usta...

„Stokroć więcej serc i ideałów rzucono pod nogi kurtyzanom, aniżeli kiedykolwiek ofiarowano uczciwym kobietom...

Echo chichotu przebiegło po włóknach zamarłej duszy i głos jakiś szepnął mu na ucho:

„Jedno serce — żądałem tak mało...

A jednak widzę, że żądałem za wiele...



Padł w fotel przy oknie, uchylił je, ode-  
tchnął chłodem.

Wzrok jego musnął sztalugę, płótno  
i wzdrygnął się przed otchłanną pustką, jaką  
ujrzał w twórczej swej duszy. Wypowie-  
dział się cały, wyżył w sztuce swej do dna,  
nie miał już snadź ludziom nic do pokazania,  
bo był jak studnia wyczerpany... Chyba je-  
den obraz jeszcze mógłby rzucić światu  
przed oczy: obraz rozdartego, rozdrzanego  
serca — na to, by lada ulicznik mógł napluć  
w nie śliną pogardy jak w spluwaczkę... Bo  
spluwaczką jest dusza artysty...

Szatański chichot zagrał w nim, przele-  
ciał przez głuchą pieczarę duszy niby majaki  
walkirji strasznych...

Tymczasem ulewa spłókała chodniki,  
wygnała ludzi i ustawała. Z dachu zciekały  
duże krople wody, rozbryzgiwały się na





zowiła martwą toń duszy i zstąpiło na niego błogie rozmarzenie — wonne złudzenie, że serca ich zbiegły się jak mewy i popłynęły nad oceanem życia świetlistym szlakiem powietrznym w złote rubieże szczęśliwości.

Odżył w nim zdeptany kwiat miłości, wydał najczarowniejszą woń, jak kadzidło płaczącą się u nóg alabastrowej bogini. W jego czarownym oddechu rozkwitł cały jak krzew róży tysiącem gorących pączków, rozplynał się w bezmiar przezczystego kochania, w cudowne jezioro miłości, w którym przeglądały się gwiazdy i niebo.

Lina!... Szczęście! Szczęście!...

Raptem — niby brutalną pięścią ugodzony zniecka szarpnął się, odskoczył od okna, śmiertelnie siny, tragiczny. Dziki, obłądny wzrok runął na ulicę, wpił się w dwo-



je ludzi, kroczących powoli chodnikiem, po-  
zerał ich, sztyletował.

Lina, wsparta na ramieniu hrabiego...  
Odwróciła lekko głowę i zerknęła w jego  
okna...

Najwyższa miłość, najwyższe pragnie-  
nie Liny podniosły się w nim huraganem  
do zenitu i uderzyły, rozbiły się w chaos,  
o nieubłagany granit — o świadomość abso-  
lutnej niemożności zbudzenia i zdobycia jej  
serca. I pewność ta okrutna strąciła go  
z szczytu miłości w przepaść, roztrzaskała  
mu głowę o wrota piekielne...

Pod czaszką miał bryłę lodu palącą,  
w duszy wichurę grozy, burzę zagłady...

Skoczył do biurka, chwycił broń...

Huk...

Cisza przeogromna przykryła rozkrzy-







---

bierzesz odemnie wieniec. Ubierz się zupełnie czarno. A powiedz Woźnickiemu, że najniewinniejsza, że witałam się z nim w kawiarni (Służewska poświadczy). Powiedz, że mnie nie przyjął, powiedz, jaki był nieznośny. Powiedz, jak bardzo go kochałam... Kto wie, czy oni ci uwierzą? Woźnicki zazdrościł Stachowi, ale go jednak wielbił i teraz będzie mnie obszczekiwał najniesprawiedliwiej... Bo czyż ja Stacha nie uszczęśliwiłam? Czy nie byłam jego całym szczęściem, powiedz?

— Woźnicki zaraz mnie zapytał, patrząc mi w oczy badawczo: „To przez Linę?...“ A gdy odrzekłam, że pewnie nie, pokłiwał głową.

— Oni teraz jeszcze gotowi szykanować mnie? Zmalują mi co w teatrze... Pytanie, czy nie będę musiała wynieść się z Warszawy... Co ja teraz pocznę?!...



Drzwi zaskrzypiały w przedsionku.

Wsunął się hrabia, o wszystkim poinformowany.

Popatrzył po twarzach kobiet spokojnie.

— Jak ty wyglądasz?! — ozwał się do Liny. — Zapłakana... Jak niestworzenie boskie! No, ładnie będziesz wyglądała! Zobacz się w lustrze!

Lina strapiona wyszła do sypialni i usiadła przed zwierciadłem.

A hrabia, zapaliwszy papierosa, ciągnął głośno:

— Widzisz, jak cię to kochał? O takie byle co się obraził, machnął ręką na ciebie i w łeb sobie puknął... Ani listu do ciebie nie zostawił ani nic ci nie zapisał z majątku, co?...

Odpowiedziało mu milczenie.

Zośka ciągle szlifowała paznogie.

— Było ci się wdawać z warjatem...





---

Przez otwarte okno czwartaka wpadały skoczne fortepianowe dźwięki. Modny walczyk trzepotał się w nierównym locie, przypadał niekiedy pod gzymsem okna i znowu zlatywał powłóczystą melodią, siejąc wesołe wspomnienia z operetki, oplatając głowę Liny, która mizerna, bezkrwista szyła, przebierając żywo zgrabnemi paluszkami.

Hrabia, od pewnego czasu, dość rzadki gość u niej, pił herbatę przy stole pod ścianą.

— No! — rzucił pysznym akcentem — możesz odetchnąć spokojnie. Już nikt ci nie zarzuci, że byłeś przyczyną jego śmierci — kłamał. — Ta wzmianka w „Dzienniku“ kładzie kres plotkom, obmywa cię z podejrzeń... Dzięki moim wpływom udało się umieścić. Tylko dzięki moim wpływom... Zachowaj dobrze ten numer „Dziennika“,



---

byś w danym razie mogła go pokazać ludziom i gębę im zamknąć.

Ziewnął, przeciągnął się. Dawno nie czuł się tak bardzo hrabią, jak dnia tego.

— Trzeba raz skończyć z tą biedą... — odetchnął głęboko z uśmiechem.

— Musisz mieć kilkaset rubli z sprzedaży mych mebli...?

— Pi!... A z czego płaciłem wam gaże?

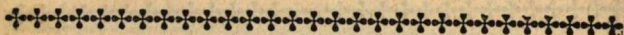
— Przecież Ochnacka dała na to fundusze. A nie straciliście, nie dołożyli ani grosza...

Pan Tadeusz podniósł się bez słowa, wsunął ręce w kieszenie i po chwili wyśpiewał radośnie, zamykając obrachunki:

— Wiesz, że Ochnacka odbiera swe pieniądze?...

Zapauzował, by dać jej ochłonąć z wrażenia. Zaczem dodał:

— Weźmiemy teatr albo w Łodzi, albo...



Nic innego mi nie pozostaje jak żenić się z nią...

Lina podniosła ciekawe, chłodne spojrzenie na pyszałkowatą, kogucio-błazeńską fizjognomię kabotyńską i patrzyła w nią, jakby w hieroglif enigmatyczny. Lubo wiadomość nie zaskoczyła jej całkiem niespodzianie była zbyt doniosłą, by Lina miała wiedzieć jakie wobec niej zająć stanowisko.

Niewyraźne, mętne niezadowolenie podniosło się w jej anemicznej duszyczce. Nie sięgała umysłem po za dobrą bieżącą, nie widziała zarysów przyszłości, więc zrazu nie zdawała sobie sprawy o ile dotyczy ją to, co posłyszała. A o tem, by zupełnie automatycznie żyjąca istota mogła wykrzesać z siebie jakibądź sąd krytyczny o postępowaniu hrabiego, nie mogło być mowy — tem mniej, że przez lat szereg nasiąkła jak gąbka strasznym chaosem bezetycznych pojęć



aktorskich, obracając się w atmosferze zgnilizny moralnej, fałszu, kłamstwa, kabotynizmu, hysterji i głupoty.

Zwiesiła głowę w bezradności. Aż nagle przypomniało się jej:

— A tyle razy zaprzysięgałeś mi, że ożenisz się ze mną!!

— Kobieto! — rozśmiał się cierpko hrabia. — Dziś ożeniłbym się z tobą, gdyby się dało. Ciebie jedną kocham... Ciebie jedną kochałem i będę kochać... Ciebie najpiękniejszą z kobiet... Ale cóż? Pobrała się bieda z biedą i spłodziła nędzę, he, he!... A tak przez to małżeństwo, Lina stanie na pewnych nogach... Znudzi ci się w Warszawie, będziesz miała każdej chwili stanowisko na mej scenie. Pierwszorzędne! Zresztą teraz, gdy wpływy me wzrosną o tysiąc procent, postaram się o to, byś miała świetne role... Warszawa legnie u nóg... pięknej Liny...



---

Żądło zazdrości ukłuło ją, hrabia zyskał  
bowiem na wartości w oka mgnieniu.

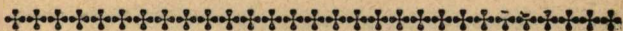
— Ileż razy zapewniałeś mnie, że oże-  
nisz się ze mną? Z nikim tylko ze mną...  
Gdy mnie wzięłeś taką młodziutką, taką nai-  
wną, przysięgałeś mi na klęczkach, że po  
śmierci żony... A teraz chcesz żenić się z ta-  
ką Ochnacką!?... Żyliśmy jak mąż i żona  
przez tyle lat. Byłam ci taka posłuszna, ule-  
gła, jakbym była ci ślubowała...

— Skończ! Nie da się i kwita!... Żyli-  
śmy tyle lat jak mąż i żona. Ludzie my-  
śleli, że istotne małżeństwo, szanowali cię  
jako moją żonę... I nadal możesz za nią  
uchodzić... Małżeństwo formalne jednak do-  
bre tylko dla burżujów, dla ludzi bogatych...  
Nie było między nami ślubów, ślubnych  
pierścionków, ale była miłość, był romans...  
Prawdziwy romans cygański...

Milczenie chmurne, kłopotliwe zawisło







nowa! cię, gdybym chciał... mógłbym kazać cię... zamknąć, wskazać na ciebie jako na zbrodniarkę. Rozumiesz?

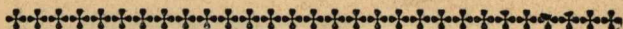
— Boże! Co ty mówisz, Tadiusi! Za co?! — krzyknęła Lina i zerwała się na nogi w śmiertelnym strachu.

Ugodziły w nią błyskawice jego źrenic. Jak złamana łodyga zachwiała się, pochwyciła poręcz krzesła, opuściła w nie omdlała, dygocąc jak listek osiny. Łzy przerażenia i bezsilności szklily się w jej oczach. Wreszcie podnosząc nań spojrzenie skatowanego dziecka jęknęła boleśnie:

— Za co, Tadiusi?...

— Za co?! Może to nie wiesz? Podstępnie dążyłaś do tego, by on mnie zastrzelił...

— Przysięgam ci!... — krzyknęła. — Przysięgam ci, Tadiusi, na miłość mej matki, że...



— Okłamywałaś mnie haniebnie, zapewniając, że Stach wyjechał zagranicę i poprowadziłaś chytrze na spacer w aleje, by on nas razem zoczył i zamordował mnie... Może nie prawda?...

— Tadziu!!...

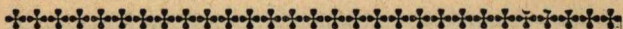
W szale przerażenia czepiała się go febrycznie drżącemi, przymilnemi rączkami, łąsiła się każdym ruchem jak suka, oplatała go błagalnemi ramionami, niby skałę ratunku, zamykała mu usta jękiem źrenic bolesnych.

— Idź!... Jeszcze może gdzie kryjesz sztylet na mnie!...

Upadła mu do nóg, jakby całować chciała kraj świętej szaty i tak klęcząc skulona, niby w śmiertelnych drgawkach, bełkotała przez łzy rozdzierająco:

— Przysięgam ci... przysięgam...

On cofnął się kwaśny, znudzony.



Milczenie jego przyjmując za zadatek łaski, Lina poczęła czołgać się za nim na klęczkach, potem podniosła na nogi z rękoma jak do modlitwy splecionemi.

— Tadzium! Nic wtenczas nie wiedziałam o tem, że ten Stach zwarjowany... Nigdy nie byłabym skłamała i prowadziła cię w aleje... Nigdy Tadzium! Przecież ja ciebie jednego kocham... Nigdy nikogo nie kochałam tylko ciebie... Tyś mój jedyny...

— Już dość tego! — rzucił hrabia, odsuwając się od niej. — Zalewasz się łzami, zbrzydniesz... Czas na mnie. Tyle jeszcze do załatwienia... Więc pamiętaj, spakuj walizkę. Jutro rano przyślę po nią... Pięćdziesiąt rubli dostałaś... Wszystko w porządku. No, buzi!...

Ucałował ją zdawkowo, a ona rozbita w pęk nerwów drgających uwisła konwulsyjnie u jego szyi.



— Ty mnie nie opuścisz, jedyny?... Co ja-bym z sobą zrobiła?! Tadzium, powiedz!... Kochany mój...

Akcenty miłości wielkiej, rozpaczliwej drgały w przeławionym głosie, wibrowały nutą dramatyczną, oplatały go girlandami oddania i kobiecości.

A gdy hrabia, bąknąwszy kilka słów, pozostawił ją samą, opadły jej ramiona, zamknęła oczy i jak tonący gdy ostatnia fala porywa go w odmęty zagłady, runęła w krzesło.

Załamala ręce.

— Ach, Boże, co ten Stach mi zrobił...

Cisza położyła dłoń kojącą, cmentarną na jej smutną głowę i pustka beznadziejna ogarnęła ją otchłannie.

Hrabia opuścił ją... Czwała to i przez moment przesunęła się przez próżnię jej duszy różowa taśma wspomnienia Stacha, jego



---

**Tegoż autora wyszły:**

**Nowele.**

**Akwarele angielskie.**

**W przeklętym domu** (Szkice więzienne).

**Zakazana Muzyka** (Trzy rzeczy beletry-  
styczne).

**Książ i Księżna** (Romans z XVIII wieku.  
2 tomy).

**Pod Myszą Wieżą** (Powieść współczesna).

---







147 (5)

147

Biblioteka Uniwersytetu  
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ  
w Lublinie

A 19404

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie  
Biblioteki

